





A. OSTOJA

Nad Czarnym Szlakiem



1898



197. 20-6-43
00-330 WARSZAWA, ul. Nowy Świat 76
BIBLIOTEKA
BADAN LITERACYJNYCH PAN
INSTYTUT

NAD CZARNYM SZLAKIEM.

WYDZIAŁ FIZYKI

Nad Czarnym szlakiem

OPOWIADANIE

PRZEZ

A. Ostoję.

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 2668-63



Lwów.

•Czcionkami „Drukarni Polskiej“ (Grand Hotel)

1897.

<http://rcin.org.pl>



Nad Czarnym szlakiem

OPOWIADANIE

A. Ostoję

3002

Mgła mi do oczów zawiewa z łona,
W prawo i w lewo coś mi nie wesoło,
Dumka na ustach brzęknie i skona.
Nie ma, ach nie ma, bo nie wesoło.
Śpiewać i dumać byłoby błogo,
W cudzej tu pustce śniłbym jak w domu.
Kochać i kochać i nie ma kogo,
Śpiewać i śpiewać i nie ma komu!

Bohd. Zaleski.

Nad głębokim parowem, który pokrywał wiekowy las dębowy, pod wieczór zbierały się chmury. Grom huczał w oddali i rozlegał się echem po lesie, niby huk strzałów działowych.

Jakby podniecony tymi odgłosami zbliżającej się burzy, przyspieszonym krokiem podązał ku jarowi mężczyzna słusznego wzrostu. Letni strój jego z żaglowego płótna, zgrabne obówie i kapelusze „panama“, zdradzały w nim człowieka z lepszego towarzystwa. — Na chwilę zatrzymał się i zwrócił zwrok ku chmurom, przyczem dojrzeć można było twarz jego ogorzalą, inteligentną, o regularnych rysach, ozdobioną jasnym wąsem. Po krótkiej obserwacji ukrył szczerzenie zielnik, który miał z sobą, laskę z nożem do wycinania chwastów wywinął w powietrzu i wązką drożyną wśród drzew szybko podążył ku Dąbrowie, spuszczać się w jar głęboki. Tam przed okiem jego

roztaczała się dolina, przez którą bystro przepływała niewielka rzeczka, skały piętrzyły się nad brzegami parowu, a z pomiędzy nich wyrastały głogi, niżej kalina, a do nich tuliły się paprocie.

W dolinie panowała cisza, tylko wody szumiały, tocząc swe bystre fale po kamienistym łożysku. Widok stąd nie był rozległy, zamykała go howiem ściana lasu, ale miejscowość sama tchnęła spokojem i powagą. Na pierwszy rzut oka zdawało się, że dolina nie jest zamieszkałą, dopiero idąc za naszym nieznanym drożyną ku dolinie, trafić można było na ślady ludzkie. Świadczyło o tem kilka ławek, rozstawionych pod staremi lipami, od nich zaś wiodła drożyna, usypana żwirem, ku jednej ze skał, do której zakryte zielenią dzikiego wina tuliło się mieszkanie ludzkie, zbudowane z szarego kamienia.

Wejdzmy do jego wnętrza. W obszernym, widnym przedsionku stały dwie ławy, oraz artystycznie wykonane wieszadła dębowe. Wzorowa czystość i prostota dobrze usposabiały dla mieszkańców tego domostwa. Parę wianków ze zboża, krzyż czarny nad drzwiami, były tutaj jedynemi ozdobami. Na powitanie przybywającego wyszedł stary służący i otworzył drzwi na lewo. Była to pracownia. — Na środku pokoju stał stół dębowy, podłużny, na nim przybory do pisania, trochę książek i dzienniki. Ściany jasno popielatego koloru wydawałyby się może za smutne, gdyby ich nie ożywiał barwny szlak, biegnący dokoła, oraz sufit ozdobnie malowany. Pod jedną ze ścian stała szafa dębowa, cała w rzeźbach, a zapełniona od góry do dołu staremi księgami. W jednym rogu

pokoju rozesłany był duży dywan perski, a na nim stało kilka foteli składanych, obok zaś mieściła się niska sofa. Na ścianach były rozwieszone artystycznie wykończone rysunki zwierząt domowych, najrozmaitszych ras; dalej tablice roślin, szkodników owadów, ptaków, ryb i mięczaków. Ułożone obok teki pełne były roślin. Zbiór mineralogiczny, w którym obok glin, okazów granitu i węgla kamiennego, poukładane były porządkiem coraz to szlachetniejsze kamienie i metale, mieścił w sobie bryły malakitu, okazów ametystów, opali, szmaragdów, kawałków rudy srebrnej i platynowej, na koniec w osobnej przedziałce polyskiwał złoty piasek, ów cel zabiegów naszego czasu.

Przyniesiony przez przybyłego zielnik spoczął na półce, on sam zaś przeszedł się po pracowni, spojrzął w okno, a widząc, że na deszcz się zanosi, bo chmury zasłoniły cały horyzont, usiadł przy stole. Tu dopiero można było przyjrzeć mu się uważniej. Twarz miał łagodną, czoło wysokie, białe, tylko z oczów bił jakiś smutek; wreszcie począł przeglądać dzienniki i listy, lecz po małej chwili, jakby zniechęcony, usunął je od siebie i wsparty na rękę, pogрузił się w myślach. Snać daleko one go uniosły, bo nawet nie słyszał, jak stary Jan parę razy wchodził z zapytaniem, czy pan nie zechce się posilić. Tymczasem deszcz lać począł, błyskawice i grzmoty powtarzały się coraz częściej, coraz gwałtowniej.

Naraz piorun uderzył, o ile z huku sądzić można było, gdzieś bardzo blisko — w lesie, lub dolinie.

Nie minęło też dziesięciu minut, gdy ukazała się za lasem wielka łuna. Pan Tadeusz — takie bowiem imię nosił gospodarz tego domu — zerwał się od stołu, a zbliżywszy się ku drzwiom, ujął sznur od dzwonka i po trzykroć nim szarpnął, trzykroć też ozwał się dzwon alarmowy. Ledwie gospodarz miał czas zmienić swój strój, gdy po upływie paru minut od dania hasła, zbliżył się przed dom niewielki oddziałek straży ogniowej wraz z pompą, czterema par koni i wozem z narzędziami. Kozaczek podał konia Tadeuszowi — zadudniało na drodze i niebawem Dąbrowę zaległa cisza, jakby w niej nigdy stopa ludzka nie powstała. W opustoszałem domostwie pozostał tylko stary Jan. — Napróżno wyglądał swojego pana przez cały wieczór — dopiero nad ranem wrócił oddziałek, a po osnalonem ubraniu, zmęczeniu koni i ludzi można było się domyśleć, że nikt z nich nie próżnował w ciągu owej nocy.

Tadeusz Wojno, syn pana Mateusza, a wnuk Wojciecha, był potomkiem zamożnej, z dawna na Rusi osiadłej szlachty. Prawie dwieście lat temu jeden z jego przodków odznaczył się pod Wiedniem. Dziad i ojciec nie siedzieli także za piecem. Nie należeli oni do rodów bardzo bogatych, lecz posiadali zawsze kęs ziemi, trochę lasów i łąk, tak, że i na życie wystarczało, i dzieci wychowywać mogli, trzymając się tej ziemi, która ich żywiła.

Pan Mateusz, ojciec Tadeusza, wybrawszy się na wojaczkę, znacznie uszczuplił swoje włości, ocalał mu jeden tylko szmat ziemi, w którym ojciec jego, Wojciech, za lepszych czasów, kiedy bogatsi panowie

budowali wille i pałace, upatrzywszy w swoich do-
brach jar, przecięty rzeczka, a zakryty starodrzewem,
zbudował mieszkanie z szarego kamienia. — Dom ten
mało co wyróżniał się od skał, które go otaczały,
a zasłonięty zielenią, bywał zjawiskiem niespodzie-
wanem dla zwiedzających to ustronie. Pięćset mor-
gów żyźnego czarnoziemiu leżało tuż pod lasem i sta-
nowiło razem z nim obszar dwudziestu trzech włók
ziemi. Ostatni potomek możnych niegdyś właścicieli,
Tadeusz Wojno, dostał w spadku ten jar, okolony
lasem, przyległe do niego pola, kilka chat dla cze-
ladzi dworskiej, zabudowania gospodarskie i ów dom,
a w nim znalazło się trochę zabytków hroni, portre-
tów rodzinnych i innych sprzętów domowych, które
ocalały w zawieruchach krajowych. Ocalenie tego
jaru zawdzięczyć należało głównie temu, że Dąbrowa
leżała na uboczu, zdala od większych traktów, a sa-
dyba i budynki zakryte były dębowym lasem. Nie-
jeden też przejeżdżając obok Dąbrowy i widząc ten
las wspaniały, nie domyślał się nawet, że tam mie-
szkają ludzie.

Młody spadkobierca Dąbrowy od sześciu już lat
siedział w tym jarze, a życie jego płynęło tak cicho,
spokojnie, że prawie nikt o nim nie wiedział. Tyle
tylko wiadomem było, że jako młody słuchacz uni-
wersytetu nie dokończywszy studyów, powędrował da-
leko, a powróciwszy po kilku latach, osiedlił się za-
raz w rodzinnej Dąbrowie.

* * *

Dobrze już słońce zazierało do jaru, kiedy Tadeusz wyjechał w pole. Arabczyk siwy w ciemne plamy, jakby bobem obrzucony, niósł wesoło jeźdźca, który przymiłał się do niego i gładził jego smukłą szyję. Koń stąpał lekko, żując wędzidło. Jeździec rzucił mu trzęsę swobodnie i począł pilnie oglądać łąny. Złotodajny rzepak okrywał się już kwieciami, koniczyna wyglądała jak kobierzec, ciemno-zielona gęsta pszenica falowała morzem, a poletek buraków o szerokich liściach, okrytych jeszcze kroplami deszczu, lśnił jak szmaragdy. Wszystkie drożyny były równe, każda miedza, każdy kącik tego pola świadczyły o pracowitości i staraniach gospodarza.

W kilka godzin później, w saloniku swoim zaciecionym roletami, siedział pan Tadeusz wraz z sąsiadem, panem Józefem z Różany, który przybył do Dąbrowy, aby podziękować za pomoc sąsiedzką, z jaką mu pośpieszył pan Tadeusz minionej nocy wraz z swoją strażą. Gość nie mógł znaleźć słów na wyrażenie swojej wdzięczności. „Gdyby nie energia pańska — mówił rozrzewniony, ściskając jeszcze raz dłoń pana Tadeusza — wszystkie budynki gospodarskie poszłyby były z dymem. Różana wiele panu zawdzięcza, a chwilowa przykrość, jakiej doznaliśmy, hojnie nam wynagradza zbliżenie się do sąsiada. Dąbrowa i Różana są tak bliskiem sąsiedztwem, że mam nadzieję, iż stosunki nasze wzajemne od dziś będą częste.“ — Pan Tadeusz skłonił głowę w milczeniu, chciał bowiem unikać podziękowań, któremi sąsiad go obsypywał. Nareszcie udało mu się zmienić przedmiot rozmowy.

Pan Józef posiadał dużo poczucia piękna, był wielkim miłośnikiem ogrodów i zachwycony był uroczem położeniem Dąbrowy. Rozmowa wszedłszy raz na ten przedmiot, stała się niewyczerpaną; pan Józef począł opowiadać, iż pracując od kilkunastu lat, na koniec udało mu się stworzyć park obszerny. Tyle było tam różnaitości w ugrupowaniu drzew, taki wybór krzewów, że Różana słynęła w całej okolicy ze swoich ogrodów. Na odjeźdźnym pan Józef raz jeszcze powtórzył zaprosiny do Różany, dodając, że to pora najmiłsza, bo pora kwitnienia bzów, a Różana posiadała kilkanaście najrzadszych odmian.

Stary Jan gospodarzył tymczasem w jadalni. Nigdzie nie przebywał on chętniej, jak w tej izbie obszernej, otoczonej dokoła szerokimi dębowymi draperjami. Stojąca tu szafa gdańska pełna była naczyń, a srebra tak w niej połyskiwały, jakby wczoraj dopiero wyszły z rąk swego twórcy. Nie dzisiejsze były to wyroby, dlatego też Jan szanował je bardzo, nie dając się do nich zbliżyć nikomu ze służby, a ze szczególniejszem namaszczeniem ocierał talerzyki z saskiej porcelany, które miały obwódki przezroczyste, jakby z koronki. Stary zegar, piękne kandelabry na kominku i zwierciadło weneckie, były również w troskliwej opiece Jana. On to regulował ów zegar, kontrolował termometr i oba barometry, z których jeden nowy okrągły nie budził w nim zaufania, a na wiarę zasługiwał u niego tylko ów stary z rtęcią.

Zegar wydzwonił właśnie szóstą godzinę, gdy do jadalni wszedł snuć dobrze tu znany gość, bo powitał Jana bardzo uprzejmie.

— A że ciebie tak trudno z twojej nory wyciągnąć — mówił idący za nim gospodarz. — Żebyś po ciebie nie posłał, nigybyś chyba tu nie zajrzał! Cóżeś robił przez cały tydzień, że wieści żadnej o tobie nie było?

Gość, którym był przyjaciel gospodarza, pan Julian, zajął w milczeniu miejsce przy stole i począł popijać herbatę. Widocznie nie pierwszy to raz spadały nań podobne wymówki; tymczasem Tadeusz podając przyjacielowi najświeższy numer gazety, rzekł:

— Niewesołe mamy wieści! Wiesz co przepowiada Sztein? Oto za pięć lub sześć lat najdalej pszenica zaatlantycka zaleje Europę, a taniość jej zgnębi rolnictwo europejskie. Bardzo to smutna przepowiednia, zwłaszcza, że jest w niej dużo prawdopodobieństwa. Tak, mój kochany, wkrótce chodzić będziemy między stertami bez butów.

— To trudno — odparł Julian. — Minęły już czasy, kiedyśmy mogli siedzieć z założonemi rękami, kiedy do nas przyjeżdżali kupcy do domów i płacąc za las, lub za zboże, jeszcze nam się kłaniali. Teraz nam pokłonić się wypadnie i prosić, żeby u nas kupowano. Przewidywałem od dawna, że tak będzie.

I do późna tak debatowali, czytając opis Ameryki północnej, zaglądając do encyklopedyi i innych podręczników.

Późno już odjechał Julian do Zacisza, położonego o parę wiorstw od Dąbrowy, które Tadeusz norą Juliana nazywał.

Już świta. — Z rzeki wznoszą się mgły, zarośla kropłą się rosą — Tadeusz spieszy obejrzeć swoje gospodarstwo. Pod górą, która osłania dolinę od zachodu, widnieją budynki gospodarskie. Zbudowano je z kamienia, dachy pokryte trzcina — wewnątrz uderzają prawidłowe wymiary — nie zapomniano o oknach i o wentylacji. Kiedy Tadeusz wszedł do stajni, znany nam arabczyk siwy w ciemne plamy pierwszy zarzął do swojego pana; zawtórował mu cały szereg koni roboczych; wszystkie one miały typ prawie jednolity, ustalony: niewielkie, o szerokich piersiach, muskularne, o suchych nogach. Tadeusz obejrzał je starannie, przeszedł do stajni, gdzie mieściło się bydło — tu podłoga wylana była cementem. Z kolei zajrzał do wozowni — w każdej z nich był wóz, pług, brony i uprząż na pięć koni; parobcy byli na swoich miejscach — wybierano się w pole z pługami — nie można było dopatrzeć chaosu, bieganiny. Tadeusz witał każdego uprzejmie — widocznie był tu dobry stosunek służby z chlebodawcą. Niedaleko od budynków widniała murowana stodoła i duże brogi na skład zboża i paszy. Od stodoły ciągnęła się wążka kolej, relsy były drewniane i wagonikami podwożono paszę dla remanentu. Chodniki łączące budynki były wysypane żwirem.

Arabczyk już był osiodłany — lekko dosiadł go Tadeusz i wyruszył w pole.

Przed kościołem, otoczonym starymi lipami, w niedzielę zajeżdżały powozy parafian. Z szarabanów wysiadały wyczubione imoście, za nimi podążali jegoście o zawieszistych wąsach, w obcisłych rękawiczkach. Butno, zamasyście wkraczali na dziedziniec kościelny i oczekiwali na przybycie reszty powozów, które widać było na grobli. — Naprzód sunęła niewielka karetą, cztery rosłe anglo-araby parszczając podrzuciły głowami i stangret sztywny cmoknięciem zachęcał korosierey. Lokaj z wygolonymi wąsami, o dużych bokobrodach, z założonemi po napoleońsku rękami, nie patrzył nawet na uszykowanych przy bramie spektatorów. Zsunął się lekko z kozła, otworzył dzwiczki i stał z taką powagą, jakby losy co najmniej parafii spoczywały na jego głowie. Z karety wysiadła ładna pani w stroju skromnym, ale bardzo eleganckim i przeszła krokiem lekkim, równym, pełnym godności.

— Szyk, nie ma co mówić — odezwał się pisarz tokowy. — Bodaj to mieć pieniądze! Jaka karetą, jaka uprzęż, jakie konie, lepsze jak mojego pana te akory o grubych łapach jak niedźwiedzie; takimi jak nasze, to tylko kozuchy wozic po jarmarkach.

— I te złe, ale i te paradery mało warte — odezwał się Guzowski, ekonom z Różanej. — Ja wolę konie stepowe, choć czasem horbonose, ale noga płaska, kopyt mocny, taki koń nie położy się w błocie, jak wasze holofernesy.

Powóz podchodził za powozem, wtem ozwał się dzwon i wszyscy pospieszili do kościoła, bo już ksiądz stał przed ołtarzem. Ławki zapełnione były wielmo-

żnemi, lud tłoczył się przy progu i w środku nawy, kadzidła unosiły się przed ołtarzem, kapłan w przeźroczej osłonie zwrócił się z monstrancją w rękę do ludu i popłynęła ku niebu pieśń „Święty Boże, święty mocny, święty a nieśmiertelny“, w pokornej postawie na kolanach lud odpowiadał: „Zmiłuj się nad nami Panie“. Po skończonem nabożeństwie przy bramie znowu uszykowało się kilku ciekawych, żeby przyrzec się jeszcze raz paniom, koniom i powozom. Tym razem ani zaprząg pana Stanisława z Mohylnej, ani pana Bolesława z Jagodyniec, w ogóle nie tak nie zaabsorbowało uwagi widzów, jak postać panny Wandy z Różanej. Śliczneż bo to było stworzenie ta Wandzia, najpiękniejszy kwiat, jaki wykwił w ogrodzie Różanej. Przy blond-popielatych włosach, rzęsy i brwi miała ciemne, rączki i nóżki drobne, zgrabne, cała jej powierzchowność i strój tyle miały wdzięku, iż niejeden zapatrzywszy się na nią, zapomniał ustąpić miejsca państwu Józefostwu i Wandzi. Zaszła landeleta i chociaż powóz znikł z przed oczu, wszyscy milczeli, tylko najśmielszy Kropilnicki, lowelas okolicy, odezwał się:

— Szyk panna Wanda, nie ma co mówić.

Wielu z parafian po nabożeństwie udało się na probostwo; tu stał stół zastawiony, czekała herbata i śniadanie. Przybyli parafianie witali się, niektórzy się całowali, a tak głośno i serdecznie, jakby od wieków nie widzieli się ze sobą. Wszyscy naraz rozpoczęli rozmowę a z tego urósł gwar nie do opisania. Krzyżowały się zapytania i odpowiedzi. Udzielano sobie na prędce ostatnie wiadomości bieżące.

Przy herbacie ktoś się odezwał o przepowiedniach upadku cen zboża i o konkurencji zaatlantyckiej. Była to nowość i miała nastąpić podług dzienników dopiero za lat kilka, więc wszyscy razem i każdy z osobna przytaczali różne argumenta. Jeden z poważniejszych panów zwrócił się do Tadeusza.

— A pan co sądzi o tych wieściach?

— Ja sądzę — rzekł Tadeusz — że na to pytanie trudno odpowiedzieć. Czy Ameryka zaleje nas swoim zbożem, czy nadprodukcja ta odbije się na nas tak dotkliwie, jak utrzymują pesymiści — to tylko pewne, że wkraczamy w nową erę, od której zaczęliśmy liczyć nasze prace zdwojone, nasze usiłowania na nowych polach przemysłu, połączonego ściśle z rolnictwem, na hodowli, w stowarzyszeniach. Czy podołamy temu zadaniu, trudno odpowiedzieć, ale siedzieć z założonymi rękami niepodobna.

— Mówi jak z książki — odezwał się suchy, słuszny jegomość do najbliższego sąsiada.

Uciulał on niemało grosza z pszenicy, dusił rubelki i ufny w swój grosz, pożartowywał w cichości z książkowych agronomów.

Pracował niestrudzenie w dzień, a w nocy tłukł się jak zmora po polach. Chłopi tak się go bali, że żadnych szkód mu nie robili, ale weszło już w zwyczaj, że zawsze po nocach kogoś szukali w szkodzie. Stary jego ekonom od tych bezsennych nocy wysechł jak jego chlebodawca i za te nocne czuwania chłopi przewali go puł'kało.

Odpowiedź Tadeusza znaleziono bardzo ogólnikową, niewyczerpującą kwestyi, i rozmowa zeszła na inne

przedmioty, a parafianin pewien ubolewał, że Sedan nie wypadł dziesięć lat wcześniej...

Śniadanie było skończone, powoli zaczęto opuszczać probostwo. Na wsiadaniem suchy jegomość zwrócił się do jednego z lepiej znajomych i szepnął:

— *A my budem sijaty po staromu pszenyciu.*

— Najlepsza to podobno recepta na te strachy — odrzekł sąsiad i pożegnali się z sobą.

* * *

Różana zaliczała się do najładniejszych majątków w okolicy. Glebę miała pszenną, dużo ziemi, lasy i wodę, ale największą ozdobą były tutejsze ogrody. Nie stworzono ich od razu — kilka pokoleń na to się składało. Dział pana Józefa zasadził sad owocowy, były tam kondygnacye, altana o prawidłowych wymiarach, ulice proste i dwa kopce sypane, po których wily się drożyny w kształcie ślimaka. Ojciec pana Józefa hołdując szkole romantyków, rzadko zajął do wirydarza o nużących swoją jednostajnością wymiarach; założył on po drugiej stronie domu ogród spacerowy — pracował zawzięcie i po trzydziestu latach zostawił niezatarte ślady swoich usiłowań.

Teraźniejszy właściciel Różanej, pan Józef, słuchając wykładów w uniwersytecie kijowskim, nieraz po lekcjach z notatką w ręku godziny całe spędzał w botanicznym ogrodzie. Tu poznał on wiele roślin liściastych i szpilkowych, tu ukochał tę rozmaitość barw i kształtów roślin, które tak starannie były hodowane pod światłym kierunkiem profesora Traunfellera.

Po ukończeniu studyów niemało pan Józef stracił czasu i pieniędzy na zapisywanie roślin ozdobnych i nasion — niemało ich pochłonął domorosły ogrodnik, często w miejsce jakiejś rzadkiej rośliny hodując chwast, którego z całą naiwnością nieuka najstaranniej podlewał i doglądał.

— Po kilku latach niefortunnych prób, udało mu się nakoniec znaleźć prawdziwego ogrodnika i od tej daty co wiosny i jesieni sprowadzano z Belgii, od Wagnera z Rygi i od Ulricha z Warszawy rośliny, które przyjmowały się i rosły wybornie.

W danej chwili szkółki w Różanej były bardzo bogate — spotkać tu można było kollekeye roślin liściastych i szpilkowych odmian bez liku; szkółki drzewek owocowych również bardzo starannie były prowadzone.

Kiedy Tadeusz wyszedł na werandę, z której rozciągał się widok na ogród i park, nie mógł utaić swojego zachwytu. Na lekkiej pochyłości, dążącej ku przezroczystej wodzie, rozrzucone były partye drzew i krzewów ozdobnych, dalej za wodą widać było lassek drzew liściastych. Poważne lipy, klony, jesiony, brzozy piętrzyły się jedne nad drugimi — wysokopienne bzy okryte kwiatem wydawały woń upajającą. — Rozkochać się można w kwiatach, tak tu pięknie — odezwał się Tadeusz do panny Wandy.

Panna Wanda z swobodą rozpieszczonej jedynaczki opowiadała Tadeuszowi o swoich kłopotach z codziennego życia, że jej „Stella“ już ją nie kocha od czasu jak ją zaczęli męczyć w ujeżdżalni, że jej nie pozwa-

lają pieszo odwiedzać staruszki bony, która mieszka za wsią u leśnika, swojego zięcia.

— A pan podobno także mieszka w lesie, tak mi ojciec mówił; ma to być śliczne ustronie, prawdziwa niespodzianka wśród lasu. Czy pan nie tęskni za ludźmi? Tak rzadko spotkać można pana w sąsiedztwie i żeby nie ten pożar, to i do Różanej trudnoby było pana zaprosić.

Tadeusz milcząco przysłuchiwał się temu szczebiotaniu. Ta szlachetna postać, ten profil bez zarzutu, łagodność i szczerłość wyrazu jej twarzy tak nań podziałały, że nie spieszył z odpowiedzią na cały szereg jej pytań.

Z kolei i on zaczął opowiadać; Wanda słuchając dowiedziała się, że Tadeusz zwiedził dalekie kraje, które tu ledwie znają z opisów, że tam tęsknił za Dąbrową, że ją czasem we śnie widywał, i Czarny szlak i mogiłę, że wróciwszy tyle miał pracy, iż mu trudno było myśleć o przyjemnościach.

— Jak to smutno być daleko od swoich — wtrąciła Wandzia. — Kiedy z mamą pojechałyśmy do Warszawy, to chociaż tam tak przyjemnie i wesoło, tęskniłam za Różaną, za ojcem, za naszym ogrodem, za swojemi — i ja wiem co to tęsknota.

Państwo Józefostwo byli bardzo uprzejmi dla sąsiada i dopiero wieczorem Tadeusz opuścił Różaną. Po wyjeździe gościa Wandzia zapytała ojca o Czarny szlak, o którym wspominał pan Tadeusz. Pan Józef opowiedział córce, że trakt, który przechodzi obok Różanej, Mohylnej i Dąbrowy, dziś tak mało uczeszczany, prawie zarośnięty trawą, zwał się „Czarny

Szlak“. Po tym to szlaku ciągnęły hordy tatarskie do tutejszego kraju i przechodziły karawany handlowe. — Wyjaśnienia te nie były dla Wandzi wystarczające, chciała wiedzieć, z kąd się on zaczynał i gdzie się kończył. Pan Józef przyniósł więc z biblioteki jeden z podręczników i wtedy Wandzia dowiedziała się, jak opisuje Gwagnin długość „Czarnego Szlaku“. Ze Lwowa do Sokala, od Sokala do Łucka nad Styrem, z Łucka do rzeki Horyń, od Horynia do rzeki Słuczy przez Zasław i Połonne, od Połonego do Kijowa, od Kijowa do Kaniowa, od Kaniowa do Czerkas, od Czerkas do Porohów, od Porohów do Tomakówki, a ztamtąd do Targowiska; tu już na czajkach do Oczakowa i gdzie chce zajechać może. Cała długość 145 mil. — Trakt ten szedł mniej więcej po tej samej linii jak trakt handlowy do Odessy, poczynał się od Dniepru, biegł przez stepy Zaporozża na Ruś Czerwoną do Lwowa.

* * *

W kilka dni po bytności w Różanej, lekki wózek węgierski, ciągniony parą rączych gniadoszów, toczył się drogą; młody chłopak siedział obok pana Tadeusza i nie obejrzeni się, jak stanęli w Zaciszu. Tadeusz szybko wbiegł do sieni, na spotkanie jego wyszedł Julian, brunet cery smagłej, sympatycznej powierzchowności. Duża izba, do której weszli, odznaczała się wielką prostotą. Jedyne zbytek, jaki tu można było zauważyć, to kollekcya broni. Był tam i łuk jakucki, i szable japońskie, i sztuciec amerykań-

kański; parę skór lamparcich okrywały sofę. — Na stołach leżały rysunki, modele maszyn i przyrządy używane przez techników. Julian nie był sam. Na sofie w wygodnej pozie przeglądał gazetę wspólny dobry ich znajomy, lekarz.

— Cóż nowego przywozisz, Tadeziu? Czy Jankesy zalali nas swoją pszenicą? Czy szlachta bierze się do odporu?

— Nie żartuj, Julianie. Jest gorzej, jak nam się zdawało. Coraz więcej przybywa ziemi długów i jeśli ceny zboża spadną, to trudno będzie przetrwać kryzys i może nadejść krach.

— I owszem — odezwał się doktor — niech bankrutują, hyle prędzej, wystąpią nowe siły do pracy, a próźniacy niech ustąpią z drogi. Powiedzcie mi, co panowie robią, gdy mają dobry urodzaj: hulają! Aż przykro słuchać, co się dzieje w Kijowie w czasie kontraktów.

Julian i Tadeusz bronili właścicieli ziemskich, ale lekarz był podrażniony. I nic dziwnego. Obcuje często z biednymi, widząc nieraz z bliska niedostatek, oburzał się na zbytki, próźniactwo, marnowanie grosza; przy naturze wrażliwej, nerwowej, nieraz wyrwało mu się słowo nieogłędne.

— Więcej pobłażliwości, doktorze — przerwał Julian — i my znamy trochę biedę; trzeba być względnym na terażniejsze pokolenie. Spadło nań za wiele ciężarów i pracy, a największy ciężar, jaki otrzymali w spadku — niepraktyczne wychowanie.

Doktor milczał, ale widocznie nieprzekonany. Żeby odwrócić drażliwy przedmiot rozmowy, Julian wypro-

wadził ich na dziedziniec. Sam go urządził. Na środku murawy stał kompas, od zachodu zasadzone były grupy drzew szpilkowych; były tam jodły balsamiczne, i cedr syberyjski, i sosna Veimutha; na trawniku dokazywała para prześlicznych młodych seterów. — W rogu dziedzińca kończyli murować kuznię. — Julian zatrzymywał spieszącego z odjazdem doktora, lecz ten rzekłszy na pożegnanie „Szczęść wam Boże w poczciwej pracy“, za chwilę siedział już na szarabanie, który uniósł zgorzkniałego pessimistę. — Oczekiwali go strapieni i chorzy.

* * *

W sąsiedniej mieścinie odbywał się jarmark. Od rana na placu targowym tłoczyły się wozy i bryczki, na moście ślepi żebracy śpiewali pieśń o świętym Mikołaju. Zjazd był bardzo liczny, pogoda sprzyjała. Na wozach siedziały postrojone młodyce, gospodarze sami powozili; za niektórymi wozami przybiegły psy podwórzowe, które straciły w mieście swoją butę, pomęczone, z wywalonymi językami leżały pod wozami, pokorne, jakby przybite tym hałasem i nieustannym gwarem, który obejmował targowicę.

W sklepie chrześcijańskim, który miał szerzyć wstrzemięźliwość, w osobnym pokoju za stołem rozsiadło się kilku jarmarkowiczów.

— Ja wam powiadam — odezwał się Kropilnicki — że te wszystkie bobiki, czortyki, dyabła warte! Słyszał kto, żeby marchwią konie karmić? A to wszystko idzie z Dąbrowy.

— Skaranie Boże! — odezwał się niemłody, ogorzwały Guzowski. — Dziedzic z Różanej tylko ciągle mi powtarza: „Pan Tadeusz ma przesłiczny bobik, u pana Tadeusza woda obraca sieczkarnię, pan Tadeusz ma dochody z pasieki.“ — Jakieś budy jak na psy ponastawiał, pomalował — zobaczymy, co ta mądra pasieka lepszego od naszych bezdenków. Słyszana rzecz: pasiecznik łązi jak w śmiertelnej koszuli i w rękawiczkach. Mój Oleksa, ile razy mu opowiadam o tej nowomodnej pasiece, śmieje się starowina, aż mu się broda trzęsie.

Śmiech powstał ogólny — wypili jeszcze parę butelek piwa i cała kompania poszła na targowicę.

U Chaima, niegdyś szynkarza a dziś bogatego dzierżawcy, stało kilka bryczek na dziedzińcu — byli to sąsiedni dzierżawcy, semici. Narzekano na ciężkie czasy.

— Ja mówię mojemu jurysdatorowi — wyrzekął pewien żydek — że dalej wytrzymać trudno; w tym roku tak mało urodziło zboża, a tenutę płąć, a załóg leży na ośm procent. Wun myśli, że ja jego poddany, żeby na niego pracował; pszenica rarytna pejseczna, a kupca na nią nie ma.

Rudy dzierżawca, który jakimś cudownym sposobem z ubogiego łychołata dorobił się znacznego kapitału, jeździł koczem i czterma końmi z dzwonkiem, zagadnął go, czy zboże zaasekurowane i zrobił przytem gest tak wymowny, że lamentujący żydek odwrócił się i obejrzał trwożliwie, czy kto wypadkiem nie usłyszał tego, co radził rudy.

— *Uni chusze kemes* (lepiej umrzeć, jak żyć bez pieniędzy) — powtarzał gruby handlarz wołów. Ciągłe podróże służyły mu widocznie na zdrowie, bo wyglądał okazale.

Rozmowa zesłała na opowiadania o okolicznych obywatelach, usłyszeć tu można było opinię o wszystkich sąsiadach, osobliwie o dziedzicu z Mohylnej. *Sztaś purec, Sztaś!* — i uśmiechali się.

— Pan Bolesław z Jagodyniec? — ktoś zagadnął — temu już niedługo handlować końmi.

— Pan Antoni z Jagodyniec? — to uczciwy, rzetelny pan, ale kapitału nie ma — wtrącił rudy. — A Różana? *a gite, szajne dorf!* — i rudy aż cmoknął ustami.

Najdokładniej wiedziano tu o ilości długów każdego, o jego nałogach, zamiłowaniach. Chaim, choć czytać i pisać nie umiał i powstał z szynkarza, jednak sprzedawał po sto tysięcy pudów pszenicy, przysłuchiwał się tylko i milczał.

— Reb Chaim co myśli o panu Wojnie z Dąbrowy? — zapytał jeden z dzierżawców.

— To żaden pan — ozwał się Chaim. — Co on tam ma pięćset morgów ziemi. Ja wiem, że Bałamutówka sieje po pięćset morgów pszenicy, a Dąbrowa to futor — a taka fanaberya! Sam posyła zboże do Königsberga; wiele on tego zboża mieć może?

— On oddał sześć wagonów pszenicy, ale jakiej pszenicy — podchwycił rudy — panowie rozchwytyją ją na nasienie. A ten z Zacisza kowal czy jakiś mechanik, ten już ma dwie lokomobile. Na co jemu lokomobile, kiedy on tam pola nie ma, tylko same

blota. On jego przeważał „Zaciszę“, a ja pamiętam, jak ten futor nazywał się „Moczychwast“.

Rudy, który o wszystkim był poinformowany, opowiadał, że u pana Juliana w Zaciszu zawsze dostać można ryby świeżej, wybornej, i że robią tam pługi i radła, takie jak zagraniczne...

Podano herbatę i długo trwały jeszcze dysputy i rozprawy, jak sobie radzić w tak ciężki rok. Chaim każdemu na pożegnanie wkładał rękę do jego ręki i powoli wysuwali się dzierżawcy do swoich bryczek. Rudy rozsiadł się w koczku i krzyknął do furmana „ruszaj!“

Na końskiej targowicy jarmark wrzał jeszcze w całej sile. Przy jednym wozie stary Woźniuk targował się z Filkiem Pronozą o myszatą kobyłę.

— *Bih mene, za trydciatpiat ne widdam; hłańte sami, jaka łoszycia.*

— *A można sprobowały?*

— *Sidajte* — odparł Woźniuk. — *Abo szo, chłopci wże po nij izdiat.*

I duży chłop wskoczył na myszatą, niewielką klacz, i dostawszy się z pomiędzy wozów, oklep drobnym kłusem przebiegł kilka razy po placu jarmarcznym. Stary Woźniuk tylko poświstywał batożkiem, kiedy go klacz mijała, a myszata wpadała w jeszcze drobniejszy kłusik, bez zmęczenia dźwigała pięciupudowy ciężar i nie poddała się.

Kilku znajomych włościan zbliżyło się do Woźniuka. — *Krycia ne łoszycia* — zdecydowali. — *A szczo, prodały?*

— *Dawały sorok jeszcze zimoju, a teper susid z Bałamutiwki daje trydciat piat'.*

— *Szkoda takoj chudoby* — zawyrokowali otaczający.

W tej chwili Pronoza osadził klacz i zeskoczył na ziemię, a ta rada, że już próba skończona, zarżała do swoich koni, które zajadały z opałki pośną siewczkę, gdzie może dwudzieste ziarno było owsa.

— *Ne ma szo, dobra łoszycia; a czy ona bude maty łosza?*

— *Za te ne znaju* — odparł Woźniuk.

— *Wy ne znajete i ja ne uhadaju. U mene raba wże siomy rik, a łoszat ne wodyt.*

Niepewność, czy będzie progenitura, niedobrze podziałała.

— *No, berit trydciat piat'* — i Filko wyciągnął rękę.

Woźniuk nastawił swoją dłoń. Sąsiad uderzył po dłoni.

— *Berety hroszy?*

— *Ne muczte darmo, zimoju dawaly sorok.*

— *No jeszcze czwertka* — i uderzył w dłoń Woźniuka.

— *Ne ustuplu.*

— *Ależ wy twerdyj, upertyj.*

Spierano się z pół godziny. Bałamutowiecki Filko odchodził i wracał po razy kilka i nareszcie za trzydzieści siedem i pół rubli dobił targu.

— *Dwa z połowynoju rubli dawaly bilsze zimoju, ale wże bude po waszomu. Wasz mohorycz?*

— *Nie, po połowyni.*

— *Dobre, nechaj bude po połowyni.*

I poszli do najbliższego szynku. Było tam ludno. Woźniuk, znany gospodarz z Mohylnej, ogólnie poważany, wypił czarękę w ręce Filka, w torbie znalazła się palanica i wędzona słonina. Po drugiej porcyi kazał dać Pronoza — usiedli pod szynkiem na przyzbie.

— Ja wam mówię, że będziecie kontenci z kobylę. To mojego zawodu. Żeby nie to, że córkę wydaję za męża, nie pozbyłbym się jej. Niech wam idzie ręką.

— Spasyboh za dobre słowo, a wam niech będą na korzyść hroszy — i wyliczył pieniądze.

— Cóż u was słyhać dobrego w Bałamutówce?

— Zachcieliście! U nas od dawien dawna nie tak jak u ludzi. Teraz mamy swój zarząd, ale cóż z tego. Wołostny starszyna gałamaga, dobry gospodarz, ale silnie zaczął pić wódkę, a wszystkiem rządzi wołostny pijak, on trzęsie wołostią. Ile u nas teraz procesów za ziemię — nikt prawdy nie dobije się. Kto zapłaci pisarzowi, tego prawda, a świadkowie za wia dro wódki znajdują się. Dużo namnożyło się u nas pijaków, a teraz są już i złodzieje, czego dawniej nie bywało.

Woźniuk tylko głową kiwał. — Wtem z szynku wyszedł stary dymisyonowany żołnierz; miał na sobie świtę włościańską, czapkę żołnierską i wąsy podkręcone w górę. Przechodząc skłonił się gospodarzom.

— Szczeńś Boże na jarmarku!

— Spasyboh — odpowiedzieli gospodarze.

— A wy skąd — pytał Pronoza żołnierz.

— Z Różanej.

— A ja z Bałamutówki, a oni — wskazał na Woźniuka — z Mohylnej. *No to my tut wsi susidy. Ja u nych kupyw kobyłku, taj baraszkuje teper. Wże i po jarmarku.*

— *Dla mene soldata aby tiutiun, da lulka, to wsio moja chudoba, taj rodyna. Szczo teper soldat! To za moich lit soldat. Dwadciat' piat' lit wykrepysz, ot tobi czysta odstawka, a teper rik, a wże mnoho hoda wy-służyw i do domu. Szczo ony teper znajut, jaka to służba! Bów ja i w Wengrii, i nad Czornoju riczkoju, i w Sewastopoli; pryjszow na rodynu — nikoho, jak pałec iden na świti.*

Woźniuk kazał podać czarke żołnierzowi.

— *Daj Boże zdrowie.*

— *Daj Boże* — odpowiedzieli i wypili.

— *Węgry czystyj narod, nema szczo skazaty* — mówił żołnierz dalej. — *Chrancuz chrabryj, szczo u nas były taki rużija. Turok toj zawsze podawawsia — kudy imu do naszoho soldata! Wernuwsia ja, taj nema de dity sia. Zemlu braty zabrały, od cipa ja odwyk, ne chotiw stykaty sia po świti, taj staw na wartownyka u didycza pry toci. Niczoho, choć żałowanie skupoje, ale wse luczsze jak z torbamy chodyty. Didycz dobryj pan, ale wse tilko hladyt' horoda, a pan Guzowski to wse kabany kormyt', taki jak zwiraki. Ot i sihodnia za dwa wziały wisimdesiat karbowańciw, a do dwora kupujut salo i masło, ale moje diło storona.*

— *Mowczy hubko, koły chceszz kaszku isty* — zakonkludował sentencyą Pronoza.

Z szynku dochodził gwar, czasem odezwał się śpiew.

Słychać już było turkot, rozjeżdżano się z jarmarku. Woźniuk z Pronożą pociągnęli do swoich wozów i w godzinę na targowicy zaległa cisza, jak w dzień powszedni. Po drogach wracały wozy przyspieszonym kłusem, na wozach siedziały młodyce, trzymając zakupione obrazy Świętych, inne wiozły kufry malowane na zielono w ozdobne kwiaty. Czasem wstrzymywano konie, żeby minąć pędzonego z jarmarku wieprza, który miał przywiązany do nogi sznurek, a właściciel odprowadzał go na rodzinne śmiecia, lub mijano zgon bydła, które pędzono na step.

Zapóźnieni pisarz i pomocnik ekonomy, którzy w sklepie chrześcijańskim zabawili się gawędą i butelczyną, szparkim kłusem z bałabanami wracali do domu, darząc po drodze zalotnym uśmiechem czarnobrywe młodyce i dziewoje. Radzi byli z siebie i z całego świata. Rozmawiali o polowaniu — marzeniem ich było zastrzelić dropia. Co święto, niedziela, marnowali proch i czas, a dropie bezkarnie zdrowe i całe pasły się stadami całymi po łąkach.

— A ten facet, widziałeś, jakiego dziś zadawał szyku? Wielka fanaberya, agronomia uczona; wyorać dobrze, zasiać, ot i cała agronomia. A widziałeś, jakie konie chude. Taki kwas jak i u nas — zakonkludował Kropilnicki.

Już dobrze późno wrócili do domu, gdzie dostali porządną burę za opóźnienie się i za zhasane konie.

Woźniuk wróciwszy do chaty, oddał żonie pieniądze wzięte za myszate; młodszy syn, który na niej jeździł na noclegi, płakał za nią i lży kułakiem ocierał i dopiero się uspokoił, gdy dostał medownika,

gościńca z jarmarku. — U Pronozów wszyscy cieszyli się myszată; jedno niepokoilo, czy będą od niej źrebięta:

Trzy lata minęło. Przebywano w tutejszej okolicy ciężkie chwile z powodu nieurodzaju. Ceny zboża były szalone, za dwa korce płacono piętnaście do szesnastu rubli; kto miał zapasy; zbierał grosz, ale wielu nie miało co sprzedawać. Dla biednych rok ten na długo pamiętny został. Nieraz obilo się wtedy przysłowie: „Od Lwowa do Oczakowa, wsiudy bida jednakowa.“

Przez te trzy lata wiele zmian tu zaszło: panna Wanda skończyła już dziewiętnaście lat; w jarze u Tadeusza i w Zaciszu u Juliana znać było ślady pracy systematycznej. Dwie lokomobile Juliana z sprowadzonymi przez niego maszynistami pracowały po sąsiednich folwarkach. Dwóch synów starych sług Tadeusza ukończyło szkołę ogrodniczą w Warszawie — pasieka ramowa zwiększyła się.

W Zaciszu, gdzie sporo było łąk i moczarów, sprowadzony ichtiolog urządził gospodarstwo rybne, usypiano mocne groble, ustawiono mnichi, stoki grobel osadzono wierzwą koszykarską — oprócz tego prawie cały morg był zajęty pod plantacye drzewek liściastych i szpilkowych.

U Tadeusza na rzece zbudowano tamę i woda obracała sieżkarnię i młocarnię; telefon łączył pracownię Tadeusza z kancelaryą gospodarską — on sam wstawał bardzo rano; rachunki i wypłaty robił sam.

Gatunki zbóż były bardzo ładne. — Na osobnej szkółce zbożowej zasiewano rozmaite odmiany, z matematyczną ścisłością obliczano zbiór ziarna i słomy.

Julian czasem polował, bo myśliwy z niego był zawołany, ale i pracował zawzięcie. Każde nowosprowadzone narzędzie nie było prędzej użyte, póki je Julian nie wypróbował. Małe laboratorium chemiczne oddawało wielkie usługi. Zbadano już przyległe ziemie, gliny, torfowiska. Na każdym kroku znać było nie jakieś empiryczne doświadczenia, ale pracę inteligentną, opartą na gruntownej wiedzy.

* * *

Pierwsze śniegi spadły wcześnie, lód okrył rzekę, Dąbrowa nie szumiła liśćmi, obnażone konary dębów wyglądały smutno. Czasem zadał wicher po jarze, lub przeciągnęło stado czarnego ptactwa. O zmierzchu w jadalnym pokoju w Dąbrowie płonął ogień na kominie. Oprócz gospodarza był tu Julian i pan Stanisław, dziedzic z Mohylnej. Od pewnego czasu bywał on tu częstym gościem. Dziś układali się o wzięcie w dzierżawę Mohylnej. Podług tego układu pan Stanisław wchodził jako spółnik do dzierżawy i należał do trzeciej części, Tadeusz i Julian w dwóch częściach. Gospodarstwo miał prowadzić dobry ich znajomy Waclaw, który w Dublinach skończył szkołę niższą. Obliczono ciężary na Mohylnej: stan interesów nie był świetny, ale nie rozpaczliwy. Siedemdziesiąt włók ziemi żyźnej, będzie na czem pracować. Dom oddawał pan Stanisław dla zarządzającego i dla

kancelaryi gospodarskiej, sam wynosił się do oficyn. Kredytorowie ułożą się i będą ciepliwi, jeśli zobaczą administrację więcej energiczną. Remanent pan Stanisław oddawał spółce, nasiona miała Dąbrowa, dwie lokomobile Juliana miały wylacać zboże z kóp. W Królewcu i Gdańsku mieli już drogę utartą. Umowa została spisana na sześć lat.

Wieczór przeszedł im na wspomnieniach ciężkiego dorobku, kiedy Julian miał swoją kuźnię, a Tadeusz chatę i kawał pola, i wspólny sklepik, i jakoś nie zaginęli. Staś był uszczęśliwiony z takiego obrotu interesów — spółka wchodziła w życie od kontraktów.

* * *

Hotel Angielski! Hotel Europejski! Florency! Grand-Hotel! — wywoływali reprezentanci hotelowi, ustawieni szeregiem na dworcu kijowskim. Publiczność tłoczyła się w niewielkiej sali, trochę za skromnej dla miasta, które od pewnego czasu zaczęło pozować na stolicę.

Tadeusz i Staś z tłumoczkami w rękę wydobyli się nakoniec z tego ścisku. Tu już szybko podjeżdżały saneczki, zaprzężone w jednego konia. „Beregis“! — krzyknął zwoszczyk i sanie pomknęły.

Dzień był mroźny, słoneczny, z dala połyskiwały złożone kopuły cerkwi, oblane potokiem światła. Mnąwszy pomnik hrabiego Bobryńskiego koło ogrodu botanicznego, zwrócili na prawo i zatrzymali się na nowem strojeniu na Żandarmskiej ulicy przed parte-

rowym domkiem. Na ich spotkanie wybiegł młodszy brat Stasia, student kijowskiej wszechnicy.

— Czekam, czekam was od dwóch dni; już myślałem, że z wami coś złego się stało — i Kazio rzucił się na szyję bratu i uściśnął rękę Tadeusza.

— Macie tu osobny pokój, przedpokoik niewielki. Stepanida Kiryłowna, osoba przez nas bardzo poważana, przyniesie zaraz samowar, drwa macie, do miasta niedaleko, nasze mieszkanie tuż obok w oficynie.

Staś dziękował bratu, że wszystko przygotował.

— Ruch tu wielki; wczoraj ktoś mi mówił, że cukiernicy idzie w górę; kontrakty zapowiadają się świetne — zjazd bardzo liczny — dokończył Kazio.

Na Kreszczatiku, najokazalszej ulicy Kijowa, pomykają sanie za saniami, czasem z pomiędzy tego tłumu wysunie się kłusak, którego plynie i wymija wszystkich bez wysiłku. Panowie w bobrowych szubkach, panie w sobolach i aksamitach, zarumienione od mrozu; wesoło uśmiechają się twarzyczki Kijowianek, wszędzie znac ruch przyśpieszony, życie krąży szybciej jak na codzień — i nic dziwnego, bo to kontrakty.

W parę dni dopiero nadjechał Julian. Przez kilka dni mieli dość zajęcia. Staś wyszukał kilka akcyj cukrowni z ustaloną opinią i te zostały nabyte. Tadeusz zwiedzał składy nasion, Julian dobierał zapasowe części do swoich maszyn, a wieczory spędzali u siebie, lub w kółku studentów, którzy gromadzili się u Kazia.

Pocziwy to i wesoły naród ci studenci. Wiele tam miłych chwil im przeszło. Teatr ich nie pociągał, do

„Chateau“ *) nie uczęszczali, byli tylko raz na koncercie wiolonczelisty. Akcye zostały nabyte dla spółki. Staś, który dawniej szumiał, cieszył się, że wrócił do życia skromnego, studenckiego, nawet nie brał dużo pieniędzy do miasta, kasę powierzając Julianowi.

W mroźny ale pogodny dzień na Kreszczatiku po szerokim trotoarze szło zwolna trzech panów. Jeden z nich słusznego wzrostu, zgrabny, elegancki, w bobrowym kołpaczku, w niedźwiadkach, miał minę panna. Obok w bobrowej szubce siedł stateczny, niższego wzrostu młody człowiek. Słuszny nie minął żadnej z pań, żeby jej się nie przypatrzył — drugiego oko biegło za każdym okazańszym zaprzęgiem. Cały świat elegancki spotkać tu można było.

— Dobryś — szepnął słuszny — idziemy za nią tyle czasu, a ty każesz mi admirować jakiegoś bułanego — i straciłem ją z oczu.

— Nie martw się — odparł towarzysz — spotkasz ich jeszcze cały tuzin; ot lepiej, jeżeli mamy włączyć się bez celu, zajdźmy do rymarza, pokażę ci siodło, które wybrałem dla siebie.

— Pójdę z tobą do rymarza, ale pod warunkiem, że zajdziemy pierwiej do antykwaryusza, a później na chwilkę wpadniemy do magazynu broni; potem jestem na twoje rozkazy, będę ci asystować do rymarza, szewców i wszędzie gdzie handlują skórami.

U antykwaryusza trzy pokoje były przepelnione starożytnymi meblami, porcelaną, bronią. Wyróżniały się bardzo ładne wazony i zegar z kandelabrami ze

*) „Château“ — teatrzyk, gdzie dają operetki „de fleurs“.

starej saskiej porcelany. Po obejrzeniu Oleś wziął na stronę Ksawerego.

— Wiesz co. ja kupię ten zegar i tych parę kandelabrow.

— Sliczna rzecz, ale nie radzę, to zdierca; zresztą próbuj.

W kwadrans targ był ukończony. Oleś wyliczył pięćset rubli jako zadatek, drugie tyle miał dopłacić przy odbiorze towaru. Ksawery i Oleś opuścili magazyn.

Zapomnieliśmy jednak o trzecim towarzyszu, który snuł się za nimi jak cień. Był to totumfacki bogatych paniczów. On to dobierał czwórki klusaków, w Berdyczowie siadywał u rymarzy i tam godzinami całemi układał nowe ozdoby do upręży bałagulskiej. Na śś. Piotra i Pawła w Jarmulińcach na jarmarku rozbijał się on na konnej targowicy, nie wychodząc z niej dzień cały. Lalem go zwali, zdrobniały miał to być Karol.

Oleś był uszczęśliwiony ze swojego kupna. W świątecznym humorze weszli do magazynu broni. Zaczęto przezierać broń i przyrządy myśliwskie.

— O nieba! kogóż ja widzę! — zawołał Oleś. — I ty Stasiu w Kijowie, i od dawna?

— Od czterech dni.

— Czy podobna? I my tu już od tygodnia; dziwne, że nigdzie nie spotkaliśmy się. Gdzie zatrzymałeś się?

— Na Żandarmskiej ulicy.

— Gdzie? gdzie?

Oleś, Ksawery i Lolo wybuchli takim śmiechem, że nawet komisanci śmiać się zaczęli.

— Chyba żartujesz z nas. — Ale seryo wam mówię, że zatrzymałem się na nowem strojeniu, na Żandarmskiej ulicy u brata mojego i tam kwateruję.

— Na to nie pozwolę, żebyś zdziczał; zabieramy cię z sobą. Jeśli już pragniesz samotności, boisz się zgiełku, to jutro cię odwieziemy do Michajłowskiego monasteru; tam są numera dla pielgrzymów, i dla ciebie znajdziemy tam kącik, ulokujemy wygodnie. Stasieczku kochany, tylko nie uciekaj dziś od nas — przechylił się i szepnął mu słów parę do ucha.

— No, panowie, nie traćmy czasu — zachęcał Ksawery. — Jeszcze kilka kroków, wstąpimy do rymarza, dla mnie zróbcie tę ofiarę, a ztamtąd proszę was na śniadanko.

— Nic za nic, to mój obowiązek — zawołał Oleś — musicie oblać mój zegar i kandelabry.

— Ułożymy się jakoś — przerwał Lolo.

— Cóż Stasiu, idziesz z nami? Cóżżeś tak się obładował; pozwól, że ci to załatwię.

Otworzył drzwi i dźwięcznym głosem wezwał posłańca, który za chwilę się zjawił i zabrał pakunki Stasia.

— Do Grand-Hotelu numer 12!

— Słucham Jasny panie.

— A to masz na czaj — i dał mu rubla.

— Kiedy posłaniec znikł z pakunkami, no, teraz Stasiu jesteś w naszym ręku. Kochany Staś!

I po kolei zaczęli go ścisnąć.

— Ktoś mi mówił, że Mohylnę wydzierżawiłeś; ale smutno, że tak zdziczałeś. Nigdzie ciebie nie widać. Byłem w jesieni w waszych stronach u Henryka na polowaniu, pytałem o ciebie, ale nie umiano mi

nie powiedzieć. Kochany Staś milczy, coś musiał nabroić, kiedy unika starych przyjaciół. — No jazda, może dla pospiechu weźmiemy sanie, bo ta włóczęga już mnie zmęczyła.

Zajęli dwoje sani i znikli w tłumie.

I szumieli, szumieli nasi panicze. — Staś wciągnięty w wir wesoly nie obejrzał się, jak pulares jego wychudł, a on rozgorączkowany zapomniał o swojej kwaterze. Oleś go przytulił w swoim numerze. Czasem zajrzał do Ksawerego, ale tam zapach skór, siodeł, drażnił jego powonienie i znowu spieszył do Olesia.

Oleś umiał żyć. Najlepsze konie do najęcia stały po całych dniach przed hotelem. Przy obiadach, które sam dysponował, służba zgadywała myśli jego; szwajcar przy każdym wyjściu i wejściu oddawał mu ukłon pełen attencji.

W niedzielę trochę się ustatkowali.

— No, Olesiu, bądź już dziś grzeczny — prosił się Staś.

— Dobrze, Stasiu — odrzekł Oleś — co chcesz, wszystko zrobię dla ciebie, tylko nie uciekaj jeszcze, choć dzionek jeden. Ubieraj się, pojedziemy do kościoła.

Kościół był przepełniony. Z trudnością Oleś, a za nim Staś, wcisnęli się do średniej nawy. Mnóstwo znajomych tu spotykali. Kiedy po nabożeństwie stanęli na wysokim krążganku, Staś spotkał panią Józefową z panną Wandą. Jakże wdzięcznie Wandzia dziś wyglądała. Czarna aksamitna szubka z sobolowym kołnierzem przesłiecznie odbijała od jej blond-popielatych włosów. Staś odprowadził panie do sani i do-

wiedział się, że od trzech dni są wraz z panem Józefem w Kijowie.

* * *

W Lipkach, w arystokratycznej części miasta, o jedenastej z rana przed eleganckim domem stało kilka sani. U państwa Bogumiłów dużo ludzi bywało; był to dom poważany. Kiedy Tadeusz i Julian weszli do przedpokoju, służący wskazał im drzwi na prawo. — Na wygodnych sofach i fotelach siedziało kilku panów — gospodarz zaprezentował przybyłych. Spokali się tu mieszkańcy Wołynia, Podola, Ukrainy, był Galicyanin i Poznańczyk — wszyscy mieli dużo kłopotów i ciężarów do znoszenia. Tadeusz nie żałował, że przyjechał; spotykał tu dużo ludzi, bardzo go interesowało obecne położenie Galicyi i rad był, że jej stały mieszkaniec będzie mu mógł dać wierny rys tej prowincyi. Z Galicyaninem zawiązał rozmowę.

— Panowie macie u siebie wiele pola do pracy — więcej swobody.

— Tak, tak — potwierdził Galicyanin — u nas ogromna swoboda, nawet z głodu umrzeć wolno.

Poznańczyk opowiadał rzeczy również niewesołe. Pomimo, że ludzie narzekali, kontrakty wrzały, akcje cukrowni szły w górę. Cukier płacili drogo, dywidendy dawali szalone — zdawało się, że tak będzie zawsze. Cukrowarowie tryumfowali, o snopkowem gospodarstwie mówiono z litością.

Pan Bogumił zaprosił wszystkich panów na dzisiejszy wieczór. Wszyscy zaproszeni nie omieszkali sta-

wić się na wieczorną herbatę. Zebranych było kilkadziesiąt osób, najwięcej przybyłych ze wsi. Salon urządzony z wielkim gustem, dużo tu było światła i ładnych twarzączek, było trochę śpiewu i muzyki. Tadeusz znalazł miejsce przy pannie Wandzie; ani on, ani ona nie znali Kijowa — byli tu po raz pierwszy.

Wandzi podobało się malownicze położenie miasta, gwar i dużo życia. Czy panu Tadeuszowi również podobał się Kijów, trudno było dowiedzieć się, ale, że miło mu było spotkać się z panną Wandą, to było widoczne, bo przez cały wieczór prawie jej nie odstępował.

Po kolacy, kiedy udano się na cygara do gabinetu samego pana, przyjechał Staś z Olesiem. Staś był trochę zażenowany, że od dwóch dni nie dawał o sobie znaku życia. Oleś go zapraszał do siebie, ale Tadeusz i Julian tak już za nim tęsknili, że go zabrali z sobą i odwieźli na własną kwaterę.

* * *

— Patrz Ksawery, jaki mi podali rachunek. Ależ to rozbój! W Paryżu, a nie w takiej burgadzie, kosztowałyby mnie tyle jak tutaj dziesięć dni. Jestem cały zbulwersowany. Miałem ze sobą do trzech tysięcy, nie grałem, nie piłem, no i za okna nie wyrzucałem, i czy uwierzysz, *je suis au bout de mes ressources*. Ładna, miła pozycja. Cała pamiątka: nabyłem te czerepy.

Wierzę ci Olesiu, bo i ja puściłem wszystko prawie co przywiozłem z sobą. Kupiłem parę siodeł, tro-

chę rzemyków, nabyłem karą klacz po Ruryku, nawet niedrogo zapłaciłem czterysta rubli. No, kolacyjka nas kosztowała, ale Stasia trzeba było rozerać, wyglądał biedak jak struty. Za kolacyjkę wzięli słono. Ach, zapomniałem, jeszcze jeden wydatek wpakowali mi: jakąś żniwiarkę, nowy system, zbiera same kłosy. Nie pamiętam, ktoś z Królestwa z młodych gospodarzy bawił w Ameryce; był tam parobkiem i jeździł na tej żniwiarce. Wszyscy kupowali i ja musiałem — *noblesse oblige*. Nie smuć się Olesiu, jedziemy do szatynki — ale powiadam ci, że ze strachem zaglądam do pularesu — tam już pustki... Śmieję się z tego, jeszcze się znajdzie. Jutro biorę awanse na buraki — nie zginiemy jeszcze.

Noc przeszła wesoło, ale nazajutrz Oleś dostał migreny, wpadł w humor okropny i zapragnął opuścić Kijów w jednej chwili, ale miał jeszcze kilka drobnych interesów do załatwienia. Zegar już był zapłacony i opakowany, ale Oleś się i nim nie cieszył, uważając go dziś już za balast niepotrzebny.

Ksawery od rana z Lolem kupowali konie robocze, które przyprowadzono z za Dniepru. Oleś nie mogąc znieść samotności, zły na siebie i na świat cały, wyszedł z hotelu. Długo chodził po Kreszczatiku i doszedłszy do Bessarabki, przypomniał sobie, że ztąd już niezbyt daleko do kwatery Stasia; przypomniał sobie czasy studenckiego żywota, kiedy w tej dzielnicy mieszkał; przesunęły mu się w myśli chwile z poranku swego życia... Szedł, nie oglądając się, jakby co prędzej chciał uciec od zgielku. Adres Stasia pamiętał. Im dalej był od Kreszczatiku, tem więcej

uspokajał się, ruch i świeże powietrze dobrze nań podziały, ból głowy ustępował. Mijał domki parterowe i nakoniec stanął u celu.

Staś był u siebie.

— Jakżeś dobrze zrobił, żeś nie był wczoraj z nami. Ksawery mnie wyciągnął i dziś szalenie głowa mnie bolała, byłem jak nie swój. Wybrałem się do ciebie na piechotę i teraz mi znacznie lżej. Cóż wy tu porabiacie? Kwaterka wyborna, przypomina mi czasy studenckie; poczciwe pokoiki, zawsze w nich czuć olej; — piec kaflowy — prawie nie się tu nie zmieniło — i łóżka takie same jak za naszych czasów, tylko trochę za ciasno dla trzech łóżek... Więc tu stoisz ty i...?

— Pan Tadeusz Wojno, z którym ciebie wczoraj poznałem, i sąsiad nasz, technik, pan Julian. Są to bliźcy moi sąsiedzi. Widząc, że mi dokuczają kredytorowie, zaproponowali, żebym im wydzierżawił Mohylnę. Mają doskonałego gospodarza z Dublaju, dwie własne lokomobile — ja w trzeciej części należę do dzierżawy.

— Ależ to śliczna rzecz, tak się urządzić. Wy macie dobrą ziemię, ale poradź, co u nas na Polesiu robić? Ziemię liczymy na tysiące dziesięcin; kto ma lasy, ten się trzyma; koloniści osiadają tylko przy większych miastach. Czy uwierzysz, że ja dostałem indemnizację za ziemię po cztery ruble za morg. Ratuja nas jeszcze lasy — co potem będzie, nietrudno przewidzieć: ruina nas czeka.

Oleś zabawił z pół godziny i zabierał się do odwrotu — Stanisław go zatrzymał.

— Zostań, widocznie jesteś jeszcze podrażniony; podadzą zaraz herbatę, po staremu, po koleżeńsku spędzimy wieczorek; poznasz moich towarzyszy, bardzo sympatyczni — zostajesz?

— Ale najchętniej; obawiałem się, czy ci nie przeszkodzę, sądziłem, że może masz jakie zajęcia, ale jeśli chcesz, zostaję. Te pokoiki tak żywo przypomniały mi studenckie czasy, brakuje tylko tych, z którymi się tu żyło.

Za chwilę nadjechał Tadeusz z Julianem. Załatwiali się ze sprawunkami, które się zwykle odkłada na koniec kontraktów. Dla zdelikaczonego Olesia znalazły się suche konfitury Bałabuchy, które mają ustaloną sławę daleko za obrębem Kijowa. Herbata była wyborna, papierosy wyśmienite, więc szła gawęda suta. Nadszedł Kazio, brat Stanisława, opowiadano o dawnych czasach studenckich, wiele dawnych wspomnień odżyło. Rozprawiano o bieżącej literaturze, o rozwoju dziennikarstwa — jak w kalejdoskopie przesuwały się obrazy różnych krajów i stref.

Oleś, oprócz milej koleżeńskiej gawędy, osiągnął tu i korzyść pewną; Julian niemało dał mu wskazówek co do bogactw, które były w dobrach pana Aleksandra. Na wiosnę miał założyć fabrykę cegły ogniotrwałej i kafli. Gлина, podług analizy zrobionej przed paru laty, była wyborna. Oleś, który był tego przekonania, że tylko cukrownie robią dobre interesa, ucieszył się, że i u niego ukażą się nowe gałęzie przemysłu. Julian obiecał mu swoją pomoc czynną.

Dobrze już po północy odjechał do hotelu, uspokojony, nerwy jego przyszły do porządku, a myśl, że

w ziemi jego są skarby dotąd nietknięte, przyniosła mu uspokojenie i sen błogi, posilny.

Nazajutrz już Olesia nie było w Kijowie. Tadeusz poszedł pożegnać państwa Józefostwa, gdzie zastał pana Józefa obłożonego cennikami i pakami nasion.

Pani Józefowa uskarżała się na życie miejskie, które nuży i denerwuje, i zgodzono się z Tadeuszem że stare przysłowie: „Bóg stworzył wieś, a człowiek miasto“, jest świętą prawdą.

Kiedy Tadeusz żegnał pannę Wandę, zapytała go, jakie wrażenia wywozi z Kijowa.

— Unoszę z sobą najmilsze wspomnienie tych chwil, które tu spędziłem z sąsiadami z Różanej.

Panna Wanda mu pogroziła.

— Dotąd byleś pan zawsze szczery, nie sądziłam, że i pan szafuje tą zdawkową monetą.

Tadeusz oddał jej ukłon głęboki.

— Do widzenia w Różanej, ale ja wiem, że jak tylko tryumwirat zbierze się w Dąbrowie, nikt nas ztamtąd nie wyciągnie. — Bądźcie zdrowi.

I Tadeusz szybko zbiegł ze schodów Francuskiego hotelu.

* * *

W najbliższem powiatowem mieście, o sześć mil od Dąbrowej, prawie już za obrębem miasta, wznosiło się więzienie, „tiuremny zamek“ oficjalnie zwany. Z dała gmach ten piętrowy, otoczony wysokim, obielonym murem, wyglądał schludnie; przy bramie wchodowej stał żołnierz z karabinem. Przekroczywszy bramę, wchodziło się na obszerny dziedziniec;

w bocznej oficynie mieszkał smotrytel, dozorca więzienia, obok była karaulka, czyli duża izba dla żołnierzy, którzy trzymali wartę, i osobny pokój dla dyżurnego oficera. Po kilku schodach schodziło się w dół i tu były korytarze, a z nich prowadziły drzwi do dolnych kamer. Każda z tych kamer miała drzwi warowne, zasuwane od korytarza drągiem okutym, jedno okno okratowane, nory i dwie porasze.

W jednej z takich kamer, która miała nadedrzwiami napis „Za Worowstwo“, późno po ósmej wieczorem leżało na norach kilkunastu aresztantów. Na honorowym miejscu w kącie pod ścianą na wołaku spoczywał w sieraczkowym zipunie starosta tej kamery. Pomimo bladej cery i twarzy obrzękłej, skutkiem braku ruchu i skąpego oświetlenia kamery, wyglądał dobrze. Jego szerokie plecy i okazała szpakowata broda dodawały mu powagi. Dla niewprawnego oka zdawałoby się, że to jakiś poczciwy staruszek, który się chyba przypadkiem dostał za kratę, taką miał minę dobroduszną. Kto wie, możeby to był i człowiek zacny, gdyby nie złe tradycje, które przechodziły dziedzicznie z rodu w ród, z dziada na wnuków. Był to znany w całej okolicy herszt złodziei, koniokrad, czasem grabieżca, a w nadzwyczajnych razach i zbój; jakby dla ironii zwał się Dobrynicz. Za jakąś drobną kradzież był teraz aresztowany; sam opowiadał, że nie do takich spraw należał i uchodziło mu bezkarnie, a dziś za jakieś dzieciństwo chwilowo męczyć się musi. Staruszek w długie zimowe wieczory opowiadał młodszemu swoje przygody. Słuchano go z rozkoszą. Kuroczka, młody dwudziesto-

letni złodziej, który posiadał jakiś nadzwyczajny sekret otwierania i zamykania klódek i zamków, tak kochał staruszka, że za niego życie by oddał. Stary Hałajbida, który ukradł parę korcy pszenicy będąc pijany, ze wstrętem odwracał się od tej kompanii; markotno mu było, że Spudek, który siedział w sąsiedniej kamercze, nie przyniósł dziś wódki. Hałajbida nie rozumiał, jak bez wódki żyć można. Strawa tiuremna mu smakowała, barszcz, kasza mu wystarczały. Opo-
dał od starosty dwóch aresztantów grało w warcaby; pionki były z chleba.

Szyldwach miarowym krokiem przechadzał się po korytarzu, czasem zazierał do kamery, ale nic dojrzeć nie mógł, bo więźniowie okienka zasmarowywali łojem.

— Gdzież pieniądze? — zapytał jeden z grających. — Wygrałem już czetwertaka, a ty nie płacisz.

— Kiedy ta sobaka smotrytel wszystkie pieniądze trzyma u siebie.

— Aj pieniądze, pieniądze! na nich świat stoi; żeby tak dostać się na swobodę, tobym i dziesięć cielkowych za jednego rubla oddał.

— Żeby teraz dostać; u kogo dostaniesz?

— Ja wiem, gdzieby dostać można, nawet Dobrynicz nie wie, co ja się teraz dowiedziałem. Przyprawdzili tu brodiahę, którego złapali w Mohylnej; siedzi on w piętnastym numerze. Gdy go przyprowadzili, nasi zaczęli krzyczeć: „jama! jama!“ a on od razu: „komu jama, to jama, a mnie chata“. Znać człek bywały; ja się z nim poznał i on mi opowiadał, że tam w Mohylnej jakieś bogate państwo wzięli

posesyę, że tam teraz dużo pieniędzy i chudoby; ja się od niego więcej dowiem. Trzeba wyzwąć się do prokurora i prosić, że my już dwudziesty miesiąc niewinnie tu się męczymy; tylko nie mów Dobryniczowi, my i bez niego damy sobie radę. Kuroczka będzie nam potrzebny; a i ten Juda Spudek, choć on za wódkę bardzo obdziera, żeby wyszedł na wolę, zdałby się nam; jemu także nie pierwszyna.

Umilkli, bo dwóch aresztantów wystąpiło do ciuciu-babki. Wszyscy siedzieli cicho na norach; dwóm aresztantom zawiązano oczy, jeden uciekał, drugi go nił. Najsmutniejsi rozweselili się i żeby nie nawoływania żołnierza, żeby już spać się kładli, zabawa trwałaby jeszcze dłużej, tak się wszystkim gry niewinne podobały.

Nazajutrz Petro i Oleksa zetknęli się z brodiahą. Spudek idąc po wodę, jakimś szczęśliwym trafem zdobył pęcherz wódki, który przyniósł pod zipunem; cztery kieliszki wódki poszły na poczęstunek brodiahy.

Brodiahom rekomendować się nie można, bo oni są zwykle „niepomniaszczyje“, nikt nawet nie zadaje sobie pracy, żeby dowiadywać się, kto oni i zkąd. Brodiaha tak starannie ukrywa miejsce swojego urodzenia, że najczęściej wędruje na Syberyę, a nazwiska swojego nie wyjawi; ztamtađ znów ucieka, jeśli mu się tylko uda i złapany znowu wraca za Ural.

Projekta Oleksy i Petra przez zimę dojrzały; naradzauo się o nowych wyprawach, byle Kuroczka nie wydał się przed Dobryniczem, którego bardzo miłował. O Spudyka byli spokojni, bo to był stary złodziej zahartowany w szkole życia aresztanckiego.

Prokurator spokoju nie miał, tak go ciągle swojemi prośbami ze łzami upewniali, iż naprawdę uwierzył, że Petro i Ołeksą tylko wypadkiem dostali się za kratę. Klucznik ich obu nie cierpiał, bo nigdy od nich nie dostał nawet na niuch tabaki, a zamiast słów pociechy, upewniał obu, że pójdą w aresztanckie rotę. Jeszcze smutniej wlokły się dni stowarzyszonej trójce, gdy Dobrynicz dla braku dowodów uwolniony został. Na jego miejsce naznaczono starostą ogromnego chłopą, barczystego, ale bardzo głupiego; kole-dzy utrzymywali, że on tak głupi, iż nawet kraść nie potrafi.

Nareszcie otworzyły się podwoje więzienne, słońce wiosenne oblało swoimi promieniami blade twarze towarzyszy i nakoniec po dwóch prawie latach niewoli ujrzeli świat Boży; przeżegnali się pobożnie i zmieniwszy strój aresztancki, pieszo, o suchym kawałku chleba, poszli do sioła rodzinnego, do Bałamutówki, w której po dwunastu latach dzierżawy Chaima, pijaków i złodziei namnożyła się ilość wielka.

Kiedy Petro i Ołeksą wychodzili z kamery, rozdali wszystkie drobniaki, jakie posiadali, towarzyszom niedoli.

Pusto zrobiło się bez nich; tyle dni, tyle miesięcy tu przesiedzieli! Pozostałym towarzyszom na chwilę błysła nadzieja, że i oni mogliby być swobodni. Kuroczka wdrapał się na okno i przez kratę krzyknął jeszcze słów kilka na pożegnanie, za co był skarczony przez szyldwacha. Każdy z więźniów pozostałych wspominał towarzyszy. Cały wieczór przeszedł na cichej gawędzie, o grach niewinnych nikt nie

myślał. Nazajutrz przed zmianą warty rozległ się po korytarzu złowrogi okrzyk: „truska! truska!“ Wszyscy na to hasło rzucili się do chowania nożów i widelców z kości, które sami w wolnych chwilach wyrabiali. Kto miał jaki grosz, chował w piecu lub pod podłogą. Z łoskotem otwierały się drzwi do każdej z kolei kamery, a żołnierze obszukiwali więźniów. Smotrytel, oficer dyżurny i żołnierze z bronią asystowali przy trusce.

W tejże samej kamerze znajdował się w liczbie więźniów młody chłopak, na którego mało kto zwracał uwagę, bo mało wdawał się z kolegami. Pawełek Dederko był tu niewinnie więziony. Ojciec jego, stary pasiecznik, mieszkał w futorze, w głębokim jarze niedaleko Bałamutówki. Futor ten nazywano futorem Dederki, bo od dawien dawna Dederkowie byli tu pasiecznikami. Futor ten wyglądał dziko, zarośnięty zwartą grabiną, tylko kilka starych grusz strzelało wierzchami wysoko ponad inne drzewa. Cały futor zarośnięty był z brzegu gęstą tarniną. Pawełek pracował przy ojcu; młodemu było tu za ciasno, rwał się do świata, do życia, wymykał się do Bałamutówki w niedziele i tam u Walka z parobkami hulał.

Trafiło się pewnej nocy, że zhasane konie znalazły się pod futorem, psy zaczęły ujadać i Pawełek wysłany przez ojca na zwiady, spostrzegł pięć koni i dwóch ludzi. — *Cyt!* — odezwali się — *my zaraz pidem, tylko koni oddochnut'*; *zabery tiji sobaki.* — Później, kiedy koniokrady dostali się w ręce sprawiedliwości, przy badaniach wplątali Pawelka, który tak się tłumaczył niejasno, że dostał się za kraty i tu po

razy kilka badany, z rezygnacją oczekiwał końca sprawy. Wierzył on święcie, że niewinność jego będzie uznana i on również ujrzy jeszcze swój futor i rodzinę. Westchnął po wyjściu więźniów i odwrócił się do ściany; ciężko zrobiło mu się na sercu.

Więzień, kiedy wdroży się do życia jednostajnego, powoli oswaja się ze swojemi norami, zipunem, przywyka do czterech ścian, nie odczuwa już swojej niedoli, ale lada wieść z domu, lub jeśli kto z towarzyszy odzyska wolność, wtedy gorycz zalewa mu serce.

Pawełek nie był jeszcze zepsuty, nie zasmakował w życiu aresztanckiem, wódki od Spudyka nie kupował; bez szemrania częściej od innych kolegów dźwigał poraszę z wodą i przynosił jedzenie do kamery. Słyszał on nieraz cichą rozmowę Oleksy, który towarzyszom opowiadał o swoich projektach na Mohylnę. Przed nim nie zwierzali się, ale raz idąc za nimi po kurytarzu, doleciały go słowa urywane, z których domyślił się, że coś knują. Zanadto dobrze znał on reguły więzienne, żeby mógł wydać się z tem co słyszał. Widział on nieraz, jak za jakieś słówko nieogłędne, wypowiedziane przed smotrytelem, aresztanci bili pytkami tych, którzy zdradzili tajemnice więzienne. Spudyk był szynkarzem tiuremnym, bo u niego zawsze dostać można było wódki. Nieraz brano do karceru podchmielonych więźniów, ale nigdy żaden tajemnicy nie wydał — honor tiuremny nie był splamiony. Klucznik z średniego kurytarza nosił tytoń więźniom, i nieraz przy rewizyi znajdowano u nich tytoń, ale kto go przynosił, nikt tego nie wydał.

I znowu zaczęły się wlec dni długie, bezbarwne, zda się bez końca. Codzień ten sam barszcz, lub krupnik i kasza na przemianę, raz jęczmienna, to hreczana, lub jaglana, omasta ze starej słoniny służyła za okrasę. Chleba czarnego, grubego, było do syta, tylko składany na noc pod norami, objadany bywał przez targany. Nikt się niemi nie brzydził, targany obmiatano i chleb na tem nie tracił, zjadany bywał do ostatniego kawałka.

Pomiędzy więźniami byli tacy, którzy siedzieli tu od bardzo dawna. Z nudów nauczyli się rzemiosł; był tu rymarz, który robił wcale dobrze tornistry dla tych, którzy wybierali się w dalszą podróż. Z kości, które zostawały z barszczu, wyrabiano krzyżyki i widelce. Jeden z brodiahów wykluwał szpilką na papierze udatne arabeski, a w środku był Anioł pocieszyciel i czterowersz bardzo udatny. Kto on był, nikt nie wiedział, ale z prac jego wykończonych szpilką i szkiców, które czasem rzucił od niechcienia ołówkiem, znać było, że ten człowiek nie zawsze był brodiahą.

Pawełek o tyle skorzystał z pobytu w więzieniu, że poduczył się żargonu tiuremnego, oduczył się palenia fajki i zaczął myśleć i głębiej wnikać w samego siebie. Niewielu widywał tu ludzi, bo nie robił znajomości, ale obcując w jednej kamerze z kolegami, podpatrzył niejednen rys, który charakteryzuje ludzi, bo tu nikt się nie maskuje, każdy jest sobą; wszystkie nałogi i upodobania wychodzą na wierzch i nikt nie zadaje sobie pracy udawać lepszego jak jest rzeczywiście. Odbył on tu kursa antropologiczne bezwiednie prawie. Dość mu było spojrzeć tylko, żeby wie-

dzieć, co myśli w tej chwili starosta kamery; po przyspieszonych krokach smotrytela odgadywał, że zbliża się obisk, lub nadchodzi ktoś z odwiedzających więzienie. Nieraz leżąc na norach odwrócony do ściany, rozmyślał o pasiece, o lysce, o znajomych parobkach z Bałamotówki i usypiał... A dalej we śnie snuł mu się wątek tychże obrazów. — Nazajutrz przebudzenie było ciężkie, nie było futuru, ani swobody, a tylko cztery ściany, nory i porasza w kącie.

— Boże, zmiłuj się nademną! Nie dawaj mi tych snów, bo serce pęknie z żalu... I za co, za co ja tu przepadam? — pytał siebie. — Czy już nie ma sprawiedliwości na tym świecie?

I kiedy już stracił nadzieję, objawiono mu, że może wracać do domu. Nie chciał wierzyć, że to nie sen — ale klucznik powtórzył: „Pawło Dederko na wolu!”

* * *

O kilka wiorstw od Czarnego Szlaku, niegdyś tak uczęszczanego a dziś zarośniętego trawą, w głębokim jarze rozsiadła się duża wieś Bałamotówka. Lieżyła ona stopięćdziesiąt chat włościańskich. Ogromny staw zarośnięty oczeretem ciągnął się wzdłuż całej wsi, przy grobli dość licho utrzymanej turkotał młyn. Staryzna to była — dach jego porósł mchem, z wnętrza dochodziły jakieś głuche jęki — to szedł folun, zbijano sukno. Wieś ta zbudowana bezładnie; gdzie kto chciał, tam się budował. Z rzadka widać było niewielkie sady wiśniowe, jako szczegół spotkać mo-

zna było większą chatę, zamożniejszą sadybę — ogólny wygląd wsi był biedny.

Dziwnym zbiegiem losu od dawien dawna nie mieszkali tu właściciele. Majątek ten należał niegdyś do dużego klucza. Kiedy wielka fortuna przy końcu ośmnastego stulecia rozpadła się, Bałamotówka zadłużona dostała się obcokrajowcowi. Mało go obchodziły losy tego kawałka ziemi, rzadko tu bywał i wieś tę od niepamiętnych czasów oddawano w dzierżawę. Nikt tu nigdy nie robił żadnych nakładów; starano się, żeby był dach słomiany nad domen dzierżawcy, duża stodoła, niby cegielnia, tok obłożony wałami ze słomy, parę dużych szop dla remanentu i na skład narzędzi gospodarskich, opodał w cieniu kilku starych wierzb studnia, a z boku loch i chlewy dla drobiu — oto całe zabudowanie gospodarskie. Obszerny wygon dzielił sadybę dworską od wioski; porastał on bodiakami, bażnikami i innymi chwastami; na nim to na wiosnę pasaly się stadami całymi gęsi, otoczone żółtymi gąsieniami, i dworskie i wiejskie, i z tego powodu bywały nawet zatargi.

Za czasów poddaństwa dawni właściciele nie lubili Bałamotówki; wysyłano tu z całych dóbr poddanych źle notowanych, krnąbrnych, jakby do kolonii karnej. Było nawet całe pokolenie ekonomów, którzy ubrani w skórzane kurty i długie buty poza kolana, mordowali żywot swój wśród tych bodiaków i tej niesfornej gromady — ale to było dawno, bardzo dawno. Teraz wieś przeszła drogą spadku do stryjecznych. Dziedziczka nigdy tu nie zaglądała, przesiadywała najczęściej za granicą.

Jedyna sadyba, która wyglądała pokaźniej w Bałamotówce, to rezydencya starego Walka, który od ojca i dziada gospodarzył tu przy beczce z wódką. Walko miał osobny duży pokój, urządzony „sui generis“ oryginalnie: po środku wisiał szabaśnik, świecący jak złoto; w szafie oszklonej stały stare, srebrne lichtarze, kieliszki, czarki, na ścianach kwiaty wyszywane na kanwie i jakieś zwierzęta, których napróżno szukać w zoologii; potwory te nosiły na sobie tradycyjne cechy, wyniesione zapewne z Egiptu, były to twarze ludzkie, a korpusy lwów. Był portret Montefiore'go, w rogu pokoju w miejscu piaseczniczki stała mosiężna miedniczka, napelniona piaskiem. Walko o dużych wyrazistych oczach chodził a raczej suwał się z wielką powagą. Do szynku, który mieścił się w drugiej połowie domu, mało zazierał, a obrabiał ważniejsze interesa: dzierżawił młyn, skupywał w jesieni u włościan owies za bezcen i dzierżawił step w Bałamotówce. Dla swoich opasów najmywał brahę w sąsiedniej gorzelni i tam tuczyły się woły w zimie. Był on w ścisłej zażyłości z gorzelnią i powtarzano w sekrecie, że handluje wódką trefną. Od kilkunastu lat krewny Walka, Chaim, dzierżawił Bałamotówkę. Po uwłaszczeniu włościan jeździli z Walkiem do Warszawy i tam wzięli od dziedziczki dzierżawę po rublu za morg; później, kiedy cena ziemi poszła w górę i płacono po pięć do sześciu rubli, Chaim płacił dwa ruble i pół.

Administracya tutejsza miała pewien system. Codzień za roboczną wypłacano gotówką, dobrymi pieniędzmi: włościanie zachodzili do karczmy i część

zarobku zostawała w kasie Walka. Tak trwało lat kilka; kiedy już ledwie kilkunastu bogatszych zostało gospodarzy, a reszta zbiedniała, wtedy Chaim otworzył kredyt — dawał pieniądze i z góry odliczał dwudziestysztyry procent.

Smutno wyglądała wieś i osada, a pola nie lepiej. Za biedą często wciska się i inne zło: pijaków nałogowych było niemało, nawet baby w niedziele i święta zawodziły przed karczmą i rozczepzone wracały do domów, za co były bite przez również pijanych małżonków.

Tylko znany nam Filko Pronoza i kilkunastu z rodziny Pronozów i z niemi skoligaconych, nie brali pieniędzy naprzód, nie przesiadywali w karczmie. Mówiono, że u Pronozów są nawet duże pieniądze, które wykopali w głębokim jarze. Pronoza idąc za przykładem Walka, rozpożyczał pieniądze pod zastaw gruntów i liczył sobie pięć groszy od rubla na tydzień, co wynosiło sto trzydzieści od sta. Dlatego to Chaim i jego wiernicy tytułowali Pronozów zawsze *Wy*, nigdy nie tykali; resztę gromady mieli za hołotę. Nawet cerkiewny starosta niewielkie miał u nich zachowanie.

Dwóch podupadłych bałamotowskich gospodarzy widzieliśmy w więzieniu. Chaim nie kazał ich przyjmować na robotę, zamożniejsi włościanie ich unikali, a u biedniejszych nie było zarobku. — Nieraz, kiedy przechodzili przez wieś, odezwał się głos: „Aresztant, tiuremszczyk!“ Chłop kułaki zaciskał; pocisk wymierzony z za płota gorzej bolał, jak łajanie w oczy. Petro i Ołeksza odsunięci od gromady, trzymali się nierozłącznie i często znikali ze swojego siola. Cza-

sem tydzień cały przepędzali za domem. Mało to kogo obchodziło, gdzie byli i co robili.

* * *

Na wiosnę już cała okolica wiedziała, że Mohylna została wydzierżawioną. Dziedzic, pan Stanisław, przeniósł się do dworku, gdzie dawniej mieścił się ekonom, a dom zajął pan Waclaw dla siebie i kancelaryi gospodarskiej. Pan Stanisław wyrestaurował dla siebie dworek. Dach był grubo posyty snopkami, ściany obielone, maty słomiane zastępywały żaluzye. Największy pokoił cały był wysłany dywanem angielskim, zabytkiem jeszcze sukcesyjnym; tu stało pianino i tu mieściła się jego pracownia. Z alkierzyka urządził sypialnię, pokój trzeci był jadalny. Po drugiej stronie sieni mieściła się nieliczna służba Stanisława.

Od czasu jak zdał z siebie cały ciężar administracyi majątku, zreformował swoje życie. Kółko jego znajomych zmalało — oprócz Tadeusza i Juliana, u nikogo teraz nie bywał. Na kontraktach w Kijowie jeszcze raz odezwało się życie hulaszce, ale trwało to niedługo. Nieogłędność ta kończyła się zwykle zapadnięciem się boków pularesu i znowu puszczać się trzeba było w pogoń za zdobyciem rubla na opłacenie procentów, prowadzenie gospodarstwa i tak bez końca. Dziś nie pragnął gospodarować sam, bo dawniejsze próby na tem polu wypadły niefortunnie. Rad był, że kiedy nadeszła pora płacenia raty bankowej, już nie uganiał za pieniędzmi, żeby załatać tę

biedę. Dawniej, kiedy zbliżał się jarmark lub święto doroczne, cała służba jednym głosem wołała „pieniędzy! pieniędzy!“ Od czasu jak pozbył się tego miłego gospodarstwa, miał spokój. Nieraz aż się dziwił, że mu nikt nie dokucza.

Pan Stanisław miał lat dwadzieścia pięć; szatyn, szczupły, zgrabny, średniego wzrostu, o ładnych wyrazistych oczach, miał opinię ładnego chłopca. Z twarzy jego ożywionej promieniała odwaga i szlachetność; posiadał on oprócz pociągającej powierzchowności dużo zalet towarzyskich, jeździł konno jak mało kto, strzelał wybornie, danser elegancki, znał kilka języków, lubił muzykę i dużo grywał na fortepianie.

Majątek dostał po rodzicach dość znaczny, wybornie zagospodarowany, ale bratu należała się połowa. Swoje intraty Staś przeżywał najsumienniejszy; był parę razy w Warszawie, raz był u wód i trochę się zadłużył. Dobry sąsiad, dobry kolega, trochę może za hojny. Faktorowie powtarzali: „Pan Staś, nasz panicz!“ Niby kochali go bardzo, ale w poufnych gawędach żartowali, kiedy Staś rozdarowywał korcami pszenicę, lub dawał swojej służbie po rublu na dzień strawnego.

Zamknięty w dworku, dużo teraz grywał na fortepianie, przezierał i porządkował papiery; z jednej szuflady dobywał cały plik bilecików, w wolnych chwilach przeczytywał je, a niektóre niszczył. Czasem godzinami całymi wpatrywał się w swoje obrazy, ułożył archiwum rodzinne — i tak przechodziły mu dnie całe. Tego rodzaju życie dla młodego, pełnego sił i zdrowia, nie wystarczało, brakowało mu żywego słowa,

brakowało ludzi, do których tak się garnał. Zreformował swoje życie, ale zmienić się nie mógł.

W fatalnem dziś był usposobieniu — na szczęście nadjechał Tadeusz z Julianem.

— Zmiłujcie się, radźcie co! — zawołał. — Przedtem zamęczały mnie kłopoty, teraz cisza i spokój mnie dręczą; radźcie co, bo dalej nie wytrzymam!

Przy herbacie Staś trochę się ożywił; wspomniano minione kontrakty.

— Wiecie co — rzekł — jedźmy do Różanej we trzech; niech tryunwirat, o którym mówi panna Wanda, ukaże się w całym komplecie.

* * *

Nazajutrz po obiedzie zaszło parę szarabanów i wyruszono do Różanej.

— Panie na spacerze, a pan u siebie i prosi — zaanonsował służący.

Weszli do pokoju pana Józefa, a właściwie do jego pracowni. Pan Józef z ogrodnikiem układali jakiś plan. Pełno tu było cenników i nasion. Gospodarz podał im wyborne cygara, a sam porządkował rozrzucone anonsa i podręczniki, przeproszał za nieład, jaki tu zastali.

Moje panie zaraz wrócą ze spaceru. Nie dziwcie się, że sam wglądam w każdy szczegół, gdzie idzie o ogród; niedługo przekonacie się, że sady stanowić będą u nas poważną gałąź dochodów. Darujcie, że u was tak dawno nie byłem, ale nie mogłem wyjechać z domu; żebym sam nie dojrzał, byliby mi

wszystko w szklarni wymrozili, bo też mrozy mieliśmy niezwykle.

Służący oznajmił, że panie już wróciły i proszą na herbatę. Pani Józefowa rada była z ich przyjazdu i bardzo uprzejmie witała swych sąsiadów; panna Wanda zarumieniona przejażdżką wyglądała dziś uroczo. Po herbacie przeszli do salonu. Stanisław usiadł do fortepianu; przyciszone tony muzyki, łagodny blask lamp, przyćmionych abażurami, puszysty miękki dywan, który przygłuszał odgłos kroków, żardynierki ubrane roślinami kwitnącemi — wszystko to sprawiało, że salon w Różanej posiadał jakiś niezwykle urok. Gospodarz prowadził bardzo ożywioną rozmowę z Julianem, który również był wielkim miłośnikiem drzew. Julian opowiadał o tajgach syberyjskich, o cedrach, o liliach, które tam dziko rosną w polach. Pani Józefowa zajęta jakąś robótką, kilka razy usiłowała zmienić przedmiot rozmowy, ale mąż jej ciągle wracał do swego ulubionego przedmiotu. Panna Wanda rozmawiała z Tadeuszem, żartowała, że podobno pan Stanisław odbywa nowicyat w klasztorze w Dąbrowie.

— Proszę pana mi opowiedzieć, jak wygląda Dąbrowa. Od ojca mego tyle się nasłuchiwałam pochwał; ma to być mały raj na ziemi. Wyobrażam sobie, jak tam pięknie być musi, kiedy wiosenne słońce ozłoci te wiekowe drzewa, a cała dolina okryje się kwiatami.

— Kto mieszka w Różanej — odparł Tadeusz, ten chyba ładniejszego już nic nie zobaczy; takich kwiatów, jakie wyrastają w Różanej, nigdzie nie spotykałem.

Panna Wanda zauważyła, że Tadeusz mówiąc o kwiatach Różanej, ogarnął ją całą wzrokiem powłóczystym, łagodnym.

— A jak wygląda Zacisze? Zacisze, to przytułek dla wydziedziczonych od losu. Nie było tam ni drzew, ni kurhanów — równina; tylko silna wola i wytrwała praca zdołały tam stworzyć wody i lasy.

— Pan mnie bardzo zaciekał; kiedyś z całym towarzystwem zwiedzimy Zacisze i Dąbrowę, jeśli panowie nas zaproszą.

Staś wmieszał się do rozmowy i dowiedziawszy się o projekcie panny Wandy, udał się z tem do pani Józefowej, żeby nie odmówiła ich zbiorowej prośbie i raczyła zwiedzić Zacisze i Dąbrowę. Juliana nie było w salonie, uprowadził go pan Józef do swojego pokoju, gdzie mu pokazywał najnowsze dzieło o kofinerach.

Dłużej niż zamierzali zabawili w Różanej; trudno było raz tu się dostawszy, wyjechać... Panna Wanda, zdawało się, że była dziś ładniejsza niż zwykle.

Ledwie rozmarzeni panowie usnęli w Dąbrowie, zbudził Tadeusza dzwonek telefonu z mieszkania Stacha. Kilka chwil trwała rozmowa; znać jednak wiadomość nie była zbyt ważna, bo Tadeusz nie budził swoich towarzyszy. Nazajutrz Julian, który spał w sąsiednim pokoju i słyszał dzwonek, zapytał Tadeusza, co to za alarm był w nocy.

— Dzieciństwo — odpowiedział Tadeusz — mieliśmy tej nocy nieproszonych gości; Stach ich przepłoszył, ogrodnik dał parę strzałów i rabusie znikli.

Dziś Stach raportował, że było ich kilku; posłano za nimi pogoń, która dotąd nie wróciła.

Staś utrzymywał, że najlepiej jest ubezpieczać się od złodziei.

— Póki gospodarowałem w Mohylnej — mówił — płaciłem Hołubom podatek i nigdy szkody nie miałem. Ubezpieczenie od złodziei nie wiele mnie kosztowało: trzydzieści rubli i parę pudów zboża.

Tadeusz i Julian nie podzielali zdania Stasia. W parę godzin nadjechał Waclaw bardzo podrażniony, bo i w Mohylnej w nocy byli złodzieje, ukradli uprząż rzemienną na sześć koni, ale dziwna rzecz, zamek był cały i nietknięty. Byli ciż goście i przy magazyynie, ale psy wilczarze narobiły tyle hałasu, że szkody żadnej nie zrobili. Waclaw słyszał od służby, że za rządów pana Stanisława, kiedy Hołubi pobierali akuratnie podatek, żadnych szkód nie było, a teraz Hołubi mścić się będą. Postanowiono zawiadomić o tem władzę i zdwoić wartę.

W czasie tego opowiadania stary Jan tylko chrząkał, a w końcu odezwał się:

— Mam ja na nich lekarstwo — i przyniósł za chwilę dwa garłacze skałkowe, które to „curiosum“ panowie z ciekawością oglądali, a na które Jan spoglądał z wielkiem poszanowaniem. — Mamy broń — zakonkludował — jest proch i grankulki znajdują się.

* * *

Po powrocie z więzienia, Pawełek chłodno był przyjęty przez ojca. Stare matyczysko, której od płaczu

za nim oczy poczerwieniały, zapadała na zdrowiu i nie śmiała nawet o nim wspominać przy ojcu.

— Chodzimy w zgrzebnych koszulach — mawiał stary — całe lato bez butów, ale Dederkowie nigdy złodziejami nie bywali i nie będą. Ja jego trzymać w domu nie będę jeśli go puszcza, a zasądzą, to i lepiej. Wolalbym, żeby ze mnie zdarli ostatnią świtę, jak żeby mi kto w oczy bryznął: „twój syn złodziej“. Pieniądze to rzecz nabyta, teraz każdy ma pieniądze, i żyd i chłop, ale cześć i czyste sumienie trudno dostać za pieniądze. U nas za obrazem są stare papiery; tam ktoby czytał, toby dowiedział się, że Dederkowie nie zawsze pilnowali tylko pasieki.

I nieraz stary w nocy długo nie mógł usnąć na piecu i łzy toczyły mu się z oczów, a łzy te bolały. Młodemu łzy to ulga, ale stary kiedy zapłacze, to łzy te palą i pieką jak żar.

Stary nie ucałował syna, kiedy wrócił, nie podał mu nawet ręki do ucałowania, kiedy kornie do niej się chylił; zostawił go z matką, a sam wyszedł z izby.

Matka zawsze matką; ona nie zdobędzie się na wydanie surowego sądu o swoim dziecku; przygarnęła go więc do serca; znalazła się czysta bielizna, nakarmiła go i pożałowała. Tak trwało dni kilka. Stosunek ojca do syna nie zmienił się. Pawełek narodził się z matką, młodsza siostra Hanka go nie odstępywała, bo go bardzo kochała. Długo pasował się Pawełek z sobą i nakoniec postanowił opuścić dom rodziców i pójść w służbę. Stary nie miał przeciw temu. Pawełek ucałowawszy rękę matki, rzucił się do nóg rodzica.

— Niech ci Bóg przebaczy za tę hańbę, co spadła na ród nasz choć ubogi, ale uczciwy — rzekł doń ojciec. — Na nic nie zda się przypominać ci zasługi naszego rodu — wszystko przepadło i ziemia, którą niegdyś posiadaliśmy, i papiery nasze również skasować można; jednak wszystko da się odebrać, ale nie ma siły ludzkiej, żeby wydrzeć cześć człowiekowi.

Zmiękł stary, widząc pokorę syna. Przeżegnał go, i dał mu trzy ruble srebrną monetą na drogę. Matka zawiesiła mu na szyji obrazek i napełniła torbę zapasem żywności, a Hanka płacząc, przeprowadziła go daleko, daleko za futor i tam, kiedy brat znikł jej z oczu, siadła na ziemi i długo rzewnie płakała. Już słońce chyliło się ku zachodowi, kiedy znękana wróciła do futoru.

Pawełek z sercem wezbranem żalem opuścił strzechę rodzinną i poszedł w świat szukać chleba.

W Mohylnej pan Waclaw tylko co wrócił z pola i stajenny oprowadzał zgrzanego konia po dziedzińcu, kiedy Pawełek w pokornej postawie stanął przed gankiem.

— Co powiesz, mój kochany? — zapytał go Waclaw.

— Potrzebuję służby, wielmożny panie — rzekł Pawełek.

— Jakiej służby? co umiesz? gdzie służyłeś? jak się nazywasz? — szybko szły pytania.

Widocznie Waclaw nie lubił tracić czasu.

Pawełek wymienił swoje nazwisko i dodał, że nigdzie nie służył, niewiele umie, ale gdyby znalazł

dobrego pana, toby mu służył wiernie za kawałek chleba.

— Mógłbym być przy koniach, jeśliby było miejsce — dodał w końcu.

— Bez świadectwa przyjąć nie mogę — zakończył Waclaw.

Pawełek się zmieszał; chociaż nie nie zawinił, jednak sprawa, do której go wmieszano, brzydką była, zebrał jednak odwagę i opowiedział w krótkich słowach wszystko. Waclaw w czasie opowiadania przysłuchiwał się pilnie i wpatrywał się w Pawełka.

— Kto poręczy, żeś był niewinien i że wszystko co mówisz, jest prawdą? — zapytał.

Pawełek wznosił rękę do góry.

— Ten, co nad nami, słyszy, że mówię prawdę; jak pragnę zbawienia duszy, tak nic nie skryłem przed panem. Ojca mojego znają wszyscy w okolicy, ale ojciec bardzo gniewny na mnie.

— Wódkę pijesz? 'fajkę palisz? — spytał jeszcze Waclaw.

W więzieniu oduczyłem się fajki, a wódki pić nie będę.

— Zostań na próbę — zdecydował wreszcie Waclaw — poszłę do ojca i dowiem się, czy mówisz prawdę. Niech Mateusz — rzekł do masztalerza — weźmie go pod swoją opiekę. Oddać mu czwórkę rozgonowych koni. Mateusz ci powie — dodał do Pawełka — jaka twoja służba.

Skinął głową i znikł w przedsionku.

* * *

— A to podła skatyna! Jeszcze i strzelać do Chrystjanyna jak do sobaki — wyrzekal Petro, leżąc na słomie obok Oleksy. — Niedosyć, że namęczyliśmy się całą noc i tłukli się na koniach, a te łajdaki jak psy gończe pędzają się za nami.

— *Nu, teper nastalo dobre wremia, za dwa dni zarobyły upraż na szist' koni.*

— *Na szczo upraż, koly nema koni* — biadał Oleksa.

Ubolewali po niefortunnej wyprawie dwaj złodzieje, odpoczywając w parafialnej mieścinnie pod gościnnym dachem Spudyka, gdzie się mieścił szynk bez patentu. Gospodarowała tu i rządy sprawowała żona Spudyka, Rejzia. Ona to odebrała z więzienia zawiadomienie, żeby przygarnąć biednego Petra i Oleksę, którzy od wczoraj już tu gościli. Kuroczka miał inną norę, obawiał się, żeby na niego nie zwrócono uwagi; tylko nocą widywał Petra i Oleksę. Nie chcieli oni iść pod komendę Hołubów, bo Hołubi od pewnego czasu podupadli, płacili nie więcej jak pięć rubli od konia, nie zważając na wzrost i czy bronieczka, czy cugowy, cena była jedna, stała. Przytem Hołubów powaga znacznie upadła od czasu, jak jednego z ich krewniaków chłopci złapali przy koniach i zamiast oddać w ręce policyi, sami go ćwiekami podkuli.

Petro obmyślił, że lepiej działać na własną rękę, a koryfuszów nie uznawać. To też już z pierwszej wyprawy znać było brak planu, brak sprytu. Jeden Kuroczka miał prawdziwy talent, on to otworzył kłódkę, wyniósł upraż i znowu kłódkę zamknął, ale przy magazynie ogromne psiska wilczarze dobrze go poturbowały, tak, że ledwie uciec zdołał. Ale nietylko

skaleczony został; za uciekającymi nadto padło kilka strzałów, które ich nietylko przeraziły, ale i do myślenia dały. Strzelano za nimi i w Dąbrowie i w Mohylnej. Dziwowali się, że teraz wszędzie po dworach mają broń palną — dawniej tego nie było. — Na co im broni pozwalają trzymać? na to chyba, żeby do ludzi strzelali.

Spudykowa ich uspokajała, żeby się nie martwili, że jak mąż jej wróci, to im poradzi, gdzie jechać i kogo brać z sobą. Ona również przeciwną była Holubom, nie uznawała ich autorytetu. Żeby osłodzić niepowodzenie, Rejzia wniosła dwa króczki wódki mocnej, szabasowej, miskę ryb z galaretą i dwie duże bułki pszenne. Była to uczta tem miłsza, bo bezinteresowna, a monety nie posiadali. Kiedy wypili wódkę i zakaśli bułką, obejrzeli się. Rejzia myśl ich odgadła i dała im po trzecim króczku. Rybę jedli powoli, niezostawiając ani kawałeczka, zjedli i bułkę, ale oględnie; szło im nietylko o zaspokojenie głodu, jak o delektowanie się ciastem pszennem, którego w więzieniu nie zażywali.

— *Nu* — odezwał się Petro — *toj brodiaha kazau, szo tam tilko dobra, tilko hroszy... Skazit nam Rejziu, kto tut teper najbohatszy z paniw i* — chciał dodać *z żydiw*, ale w samą porę wstrzymał słowo, które miał na końcu języka i dodał: *i z popiw? Wy najluczsze znajete.*

— *A ja zkąd wiem?* — odparła żydówka — *to nie mój interes; jakby był Spudyk, win by wam wse skazaw. Kto może znaty, szczo u koho w kieszeni.*

— *Nu, dolaz nasza, dola* — westchnął Petro — *praciuj, haruj, nespy ciu nicz, a posła z holodu hyń;*

ot Pawelko taki sam jak i my, staw na furmana; ty baczyw, jaki na niom teper kozuch i szapka sywaja.

— *Szczo Dederko!* — i Oleksa machnął ręką lekceważaco. — *Czy my jeha ne znajem? Dobrynicz kazaw, szczo z nioho nikoly dobra ne bude. Szoby to Spudyk wyjszow na wolu! Toj szo zadumaje, to z pid zemli dostane.*

Wieczorem zjawił się Kuroczka i również zlorzezył; szczególnie miał żal, że takie złe psy hoduja przy dworach. Miał on dla nich przygotować różne specyały: wronie oko i majki w chlebie, ale na to wszystko trzeba było czasu i pewnego nakładu, a tu grosza nie było. Poruszono myśl, żeby Kuroczka pocichu otworzył szafę u Rejzi, ale projekt ten został odrzucony instynktem zachowawczym, bo tu był jedyny punkt zborny i narazić się Rejzi nie wypadało. Rozpamiętywano dobre czasy tiuremne, kiedy w kamerze było ciepło jak w uchu, czysto, pozamiatano. Codzień barszcz i kasza, ale co najważniejsza, że człowiek spi spokojny, pewny, że ma dach nad głową i nie umrze z głodu, zipun na grzbiecie; nawet i bania była swoja.

— *A tut na swobodі hirsza newola* — narzekał Petro — *wsiakij posipaka cziplajesia, dityska po dorozі ne dajut perejty, naśmichajutsia...*

— *Lito jak lito* — dorzucił Oleksa — *ale na zymu łuczszе tam jak na woli.*

Dalszych wypraw zaniechano na razie, bo trzeba było spieniężyć uprząż i Kuroczka miał nogę zranioną. Rejzia ofiarowała im gościnę na dni kilka. Kuroczka dobił herbatę, w szynku był samowar, w koleżeńskim więc kółku radzono do późna.

Paweł Dederko już lepiej teraz wyglądał; miał koczuch porządny i czapkę siwą, a dostawszy na rachunek pensyi cztery ruble, kupił korale dla Hanki. W święto wyprosił się na cały dzień do rodziców. Cóż to była za radość na futorze! Matczysko biedne płakało z radości, Hanka to całowała brata, to przyglądała się koralom. Stary także się udobruchał i miał pójść do Mohylnej, żeby podziękować panu Waclawowi, że dał służbę synowi.

Pewnego dnia Mateusz kazał Pawełkowi jechać na pocztę. Pawełek okulbaczył więc bułanka z swojej czwórki, przepasał się paskiem skórzanym, przewiesił torbę i wsiadł na konia. Bułanek czuły w pysku dał susa, chłopak tylko się uśmiechnął, poprawił się w siodle i drobnym stępem ruszył w drogę. Kiedy mijał bramę dworską, z boku w dziedzińcu stał dziad w lachmanach, z przymrużonemi oczyma. Posłyszawszy, że ktoś się zbliża, rozpoczął zwykłą swoją formułkę:

— Panowie miłosierni, panowie dobrotliwi, nie opuście biednego ciemnego kaleki, a dusze wiernych zmarłych niech odpoczywają w pokoju wiecznym, amen.

Obok niego w pokornej postawie, również w lachmanach stał Kuroczka. Pawełek uważnie przypatrzył się im, wolnym stępem przejeżdżając obok. Poznał dawniejszych znajomych więzienia.

W Mohylnej, po dawniejszym nieładzie, choć dopiero od kilku miesięcy zaczęły się rządy pana Waclawa, znać było myśl przewodnią i rękę gospodarza. W kuźni dwanaście wozów o żelaznych osiach już było na ukończeniu. Jare zasiewy były należycie i

w porę zrobione. Żydzi przejeżdżając przez Mohylnę kiwali głowami i z niedowierzaniem patrzyli na ten prolog, który miał się skończyć parcelacją lub zlicytowaniem. Raty bankowe i podatki w terminie zostały zapłacone. Stanowy przystaw, który zawsze narzekał na Mohylnę i na pana Stanisława, rozplęwał się teraz w pochwałach.

Okoliczni mieszkańcy dziwili się. Czy pieniądze wykopali w Mohylnej, czy na loteryi wygrali? Nie. Działy tu tylko wiedza, praca i poczciwa ziemia.

— Wun myśli, ten szlachetka, że pod siebie zabrał Mohylnę, to on już wielgi purec! — mawiał Chaim i wysyłał swoich powierników, żeby wódką i obietnicami kusić robotników z Mohylnej. — Najrozumniejszy z tych powierników, który nawet pisywał do gazety „Wastak“, zwykł był mawiać:

— Nasz pan Chaim dziesięciu takich Wojnów może schować do jednej kieszeni.

W początkach na wozach zabierano robotników z Mohylnej, ale kiedy przekonano się, że pan Wacław płaci regularnie, stanowczo zrzekli się żydowskich zarobków.

* * *

Było to w czerwcu. Na łąkach rozlewał się aromat traw skoszonych, zboża jeszcze zielone, ale wyrosły bujnie i okryły się już kłosem. Wieśniak cieszył się nadzieją bogatych żniw i przednowek już nie straszny, bo za miesiąc najdalej zabrzęczą sierpy i kosy i każdy zbierze chleb święty. Biedak już nie zazna

głodu, nadzieja gości w sercu każdego. Ileż to dni, miesiące, żyje się nieraz tą nadzieją!

W pogodny cichy wieczór panna Wanda na Stelli, a jej dawna nauczycielka w koczyku, zaprzężonym paru kucami tarantowatymi, wyjechały odwiedzić staruszkę bonę Wandzi. Mały groom w niewielkiej odległości jechał za paniami. Kiedy wyjechały z leśniczówki i wydobyły się z lasu, widać już było mogiłę przy Czarnym Szlaku, ku której się skierowały. Stanąwszy przy mogile, Wandzia zsiadła z konia i obie z towarzyszką weszły na jej szczyt, gdzie spostrzegły, iż nie są same, zastawszy tu Stanisława, Juliana i Tadeusza. Panowie zbliżyli się i powitali przybyłe panie. Słońce chyliło się ku zachodowi, zasyłając ostatnie blaski swoich promieni. Oczy wszystkich utonęły w przestrzeni i na chwilę zapanowało milczenie. Mogiła panowała nad okolicą, z widokiem na łany zbóż, które zda się nie miały końca ani granic. Nie było tu ani szumiącego potoku, ani drzew bujnych, tylko olbrzymie bodiaki pięły się u jej stóp i dziewanna strzelała w górę złocistym kwieciem. Spokój jakiś niemal uroczysty panował w okolo, tylko cichy szmer skrzydlatych owadów przerywał ciszę. Mimowoli ogarnęły wszystkich jakieś smętne dumy, w myśli przesunęli się rycerze i hordy najezdnicze, i polegli pod tym kurhanem; czy ci, co tu spoczęli, byli swoi, czy wrogów przygarnęła ta ziemia?

Od czasu spotkania tego Tadeusz często prawie bezwiednie podążał ku mogile. Arabczyk sam go nieraz kierował w tę stronę, tak przywykł do zwyczaju swojego pana, a Tadeusz dał mu się powodować.

I znowu był zachód słońca, ale nie tak pogodny, jak w czasie pierwszego spotkania z paniami z Różanej. Niebo pokryte było poszarpanymi chmurami — towarzyszka Wandzi szkicowała widoczek z mogiły, Tadeusz zadumany, smutny, przyciszonym głosem rozmawiał z panną Wandą.

* * *

Najbliższem sąsiedztwem Różanej były Jagodyńce. Duża ta wieś rozrzucona była w głębokich jarach. Gleba tutejsza przeważnie glinkowata, nadawała się wybornie do hodowli śliw węgerek, to też Jagodyńce słynęły z tego. Najuboższy włościanin miał tu swój sad śliwkowy. Wieś ta należała do ogromnych dóbr książąt Lubomirskich, którą przy schyłku ośmnastego wieku plenipotent książąt podzielił na trzy części i odprzedał szlachcie, a odtąd trzy nowe rody usłały sobie gniazda w tej wsi malowniczej. W wioskach, w których kilku mieszkało właścicieli, zwykle nie było zgody. Z plotek urastały nieporozumienia i właśnie, często procesa, później zrywano stosunki i najbliżsi sąsiedzi nie znali jeden drugiego. Tu inaczej się działo. Sadyby dworskie były daleko jedna od drugiej położone, pola i łąki miały granice naturalne. Las wprawdzie był w jednej masie, ale linie graniczne były prosto wycięte i dobrze utrzymane. W Jagodyńcach panowała między sąsiadami zgoda, bez cienia zawiści i plotek.

Wjeżdżając do wsi, ukazała się najpierw sadyba państwa Antoniostwa. Częstokół opasywał obszerny

dziejnec, lekkie wrota zamykały ogrodzenie. Na tle kilku starych lip i kasztanów rysował się dom drewniany o białych ścianach pod słomianą strzechą. Z boku stały oficyny, naprzeciw mieściła się niewielka stajnia i wozownia. Za oficynami była drobiarnia, loch i lodownia. Od domu do oficyn prowadziła ścieżka wysypana piaskiem. Wszystkie dachy były całe, budynki obielone, dziedziniec czysty, bez chwastów. Z domu wchodziło się do sadu owocowego, z trzech stron obsadzonego aleją z starych lip, a od południa ciągnęła się aleja grabowa, gęsta, cienista, do której nawet w największy upał słońce nie zaglądało. Z aleji grabowej było przejście do toku i zabudowań gospodarskich. Dziedzic tej sadyby i trzeciej części Jagodyniec, pan Antoni, od siódmej z rana był w polu przy robocie. Wrócił zmęczony, bo upał dokuczał, ale zadowolony, bo urodzaj zapowiadał się dobry. Po obiedzie udał się do swojej izby. Skromnie tu było: żelazne łóżko zasłane białą skórą końską, na dużym stole pod oknem leżały rejestra gospodarskie i trochę książek, dalej kilka krzeseł dębowych, zabytek jeszcze przeszłego stulecia. Nad łóżkiem wisiał obraz Matki Boskiej, malowany na blasze, stary ryngraf i dubeltówka. Za łóżkiem spoczywała Zygmun-tówka. Przy progu siodło, na szaragach burka, delja z wilków, smycz, harap, kilka obrożek ot i wszystko.

Była to pora, kiedy pan Antoni przez parę godzin mógł odpocząć. Przejierał gazetę — ceny zapowiadały się dobre, więc i humor był dobry. Zosia, najstarsza córeczka, zauważyła przy obiedzie, że ojczulek nie tak zasepiony, jak to często bywało, wbiegła

więc do pokoju ojca, niosąc mu poziomki. Uśmiechnąwszy się, rzuciła mu się na szyję.

— Niech ojczulek nie smuci się, nie martwi, Staś dobrze się uczy, a choć z łaciny ma trójkę, dostanie promocyę. Jak przyjedzie na wakacye, my oboje będziemy pracować, pomagać ojczulkowi w polu, ja z nim będę powtarzać łacinę.

— Alboż ty potrafisz?

— Ja tych świąt ciągle go słuchałam z łaciny: *amo, amavi, amatum, amare; fero, tuli, latum, fere.*

— I na cóż ci moje dziecko ta łacina?

— A Stasiowi na co? Dobrze umieć przeczytać receptę, albo nazwisko jakiej rośliny w Różanej. **Jak** tam ślicznie w Różanej! jakie krzewy, jakie kwiaty, tylko trudno nazwiska spamiętać; pan Józef zna je wszystkie.

— Dobrze, moje dziecko, bawić się panu Józefowi ogrodem, bo on ma się kim wyręczyć, a my powinniśmy pracować sami bez wytchnienia.

Pan Antoni nie miał czasu bawić się ogrodem, jak to się działo w Różanej; miał on kwiaty w domu, cały ich bukiet: sześcioro dziatek wyrastało pod tą strzechą. Skromny we wszystkim, niepokazny też posiadał powozik i cztery mierzyny, które używano do roboty, a w święto nosiły tytuł powozowych i wozily panią i dzieci do kościoła. Pan Antoni dotąd resorów nie znał, konno lub bryczką odbywał podróże. Posiadał dwadzieścia włók ziemi, wygodną sadybę, staw i pasiekę i sto pięćdziesiąt morgów lasu. Nie oszczędzał siebie, do minimum redukując własne potrzeby, ale te ciągle wzrastały. Zosia już dorastała,

a Staś kosztował czterysta rubli rocznie i niemilosiernie darł buty i odzienie. Rzadko bardzo wychylał się pan Antoni z domu, chyba pilny interes go do tego zmusił. Raz tylko w rok, w dzień swojego patrona, podejmował u siebie sąsiadów. Pomimo energii i pracy było mu nieraz ciężko. Powolny do usług publicznych, nigdy się nie uchylał od obowiązków obywatelskich.

Sąsiadka państwa Antoniostwa, wdowa, pani Bronisława, właścicielka również trzeciej części Jagodyniec, była tu szanowana bardzo. Z panią Antoniową łączył ją serdeczny stosunek. Przed kilkunastu laty straciła ona męża i majątek po nim. Kiedy się pobrali, byli bardzo szczęśliwi i zamożni — jedna chwila nadeszła i została samą, z synem jedynakiem, Konradem. Długo nie mogła oswoić się ze swoim sieroctwem i z taką nagłą zmianą losu. Przeniosła się do części Jagodyniec, odziedziczonej po swoich rodzicach. Z resztek swojej wyprawy urządziła tu mieszkanie znośne, odrestaurowawszy skromy swój domek.

Pan Antoni dopomógł urządzić gospodarstwo i biedna kobieta uczuła, że nie jest opuszczoną, samą na świecie. Smutne przejścia odbiły się na jej zdrowiu i często zapadała; dziś też znać dano, że pani Bronisława zachorowała i że posłano po lekarza. Pani Antoniowa z Zosią poszły ją odwiedzić.

Kiedy na dworze pani Bronisławy rozgościł się smutek i niepokój, w trzecim dworze było wesoło.

Nad dużym stawem, na drugim końcu wsi, położona była sadyba pana Bolesława. Domek był niewielki, ale zbudowany gustownie. Na obszernym dzie-

dzińcu stało kilku młodych ludzi i przypatrywało się prezentacyi konia wierzchowego, później strzelano do celu, a po herbacie zasiedli do zielonego stolika.

Nazajutrz przypadkiem we dworze pana Bolesława dowiedziano się, że sąsiadka bardzo chora i że posłano po lekarza. Pan Bolesław napisał list do kuzynki, pani Bronisławy, z zapytaniem, czy czego nie potrzebują, że jest na ich rozkazy — i znowu zasiedli panicze do zielonego stolika.

* * *

I znowu rok minął — wypadł on bardzo pomyślnie, żniwa były pogodne. W Mohylnej zbiór szedł energicznie, z kóp młóciła lokomobila, ziarno było ładne; wysyłano je do Królewca, a złamtąd płynęło do Anglii. Brakowało Stasia, wyjechał on do Królewca w interesach spółki. Tadeusz doglądał Dąbrowy i zazierał do Mohylnej. Julian nie odstępował wymłotów. Praca i włożony kapitał dobrze się opłaciły. Oddano dziesięć wagonów rzepaku i spodziewano się trzydziestu wagonów pszenicy.

Po powrocie Stasia była narada i postanowiono zadzierżawić młyn w sąsiednim miasteczku. Woda była silna, wypadało tylko przerobić mechanizm. Spółka miała to przyjąć na siebie. Właściciel dawał potrzebny materiał i zawarto umowę na dwanaście lat.

Jak na jeden rok dość zrobiono; zaprowadzono porządek w Mohylnej i zadzierżawiono młyn. Rok gospodarski uwieńczony był wielkim plusem. Pocziwa ziemia hojnie się wyplaciła. Jak na początek wszystko

dobrze się składało. W zimie Julian wyjechał za granicę po maszyny do młyna. Tadeusz na święta Bożego Narodzenia wyjechał na Litwę i nie było go przez cały miesiąc.

W Różanej od pewnego czasu bywało wiele gości. Nie było prawie dnia, żeby tu ktoś nie przyjechał. Dom ten nosił na sobie cechy dawnej prostoty, przy wygodach, jakie przyniósł wiek obecny. Sześć pokoi gościnnych rzadko kiedy były próżne. Przyjechała dawna nauczycielka panny Wandy, która zatęskniła za nią, miesiące upływały i nie mogła się rozstać z ukochaną elewką.

Często tu teraz zazierał pan Bolesław; korzystał on z dalekiego pokrewieństwa z samą panią, a Wandę nazywał kuzynką.

Bolek był u szczytu swojej potęgi; zaciągnął pożyczkę w towarzystwie kredytowym kijowskim, jego czwórka nie miała równej, wiadano o niej i w Berdyczowie i w Jarinulińcach; jego charty miały ustaloną opinię. Ubierał się u najdroższego krawca w Odessie. Bolek miły, elegancki, rozmarzony panną Wandą, często tu przesiadywał. Tak był blizkim sąsiadem, a przytem i kuzynkiem, więc oswojono się z ciągłymi jego odwiedzinami i zdawało się, że go brakuje, jeśli przez kilka dni tam nie zajrzał.

Bywał tu często i Guccio, mieszkający o kilkanaście mil od Różanej; miał podobno dierzawę. Wszędzie widzieć go można było, gdzie ludzie się gromadzą. Uprawiał sport, jeździł dobrze konno i szeroko rozprawiał o koniach, posiadał nawet jedyną klacz wierzchową, która stanowiła całe jego stado. Była to

klacz uniwersalna: i wierzchowa i wyścigowa. W czasie letniego sezonu widzieć go można było u wód. Czasem zaglądał do Warszawy. Kąrlutki, rumiany, lubił dobre obiadki, a repertoar jego opowiadań, szczególnie w kółku mężkiem, był niewyczerpany. Śmiały, ocytany, miał talent rozprawiania o przedmiotach, które mało umiał, ale szło mu gładko — odwaga wiele znaczy. Pan Józef mało z niego miał pociechy, bo słabo znał botanikę, za to w salonie przy paniach zawsze miał coś nowego do opowiadania; włócząc się po świecie, nabył łatwości snucia rozmowy z niczego. Czasem z lekkich alluzyj domyśleć się można było, iż nie byłby od tego, żeby nakoniec założyć gniazdo własne, ale gdzie to być miało, nikt nie wiedział. Jako amator koni codziennie odwiedzał stajnię. Stellę karmił cukrem. Faworytka panny Wandy znała jego głos, rozpuścił ją tak, że szła do ręki. Hojne datki dostawał zaś stary lokaj.

Po obiedzie Guccio odpoczywał w gościnnym pokoju; pozapuszczał stopy, zapalił cygaro i rozmyślał o tem, kiedy się oświadczy i zostanie przyjęty, jaki ma dać adres rodzicom, dokąd mają wysłać listy do swojej jedynaczki. W pierwszym roku podróży, to rzecz naturalna — pocieszał sam siebie — a później tęsknota rodziców, niepokój o jedynaczkę — przyjazd do Różanej, a dalej?... No, to samo, co i teraz.

Czasem Guccio robił wycieczki do Dąbrowy i do Juliana, ale na krótko. Tu mu było najlepiej, tu siedział i stanowczo zadecydował, że tu zostanie na zawsze. Przy herbacie wspominał od niechcienia, że plenipotent wzywa go dla interesów, ale panie protesto-

wały — na święty Antoni wszyscy mieli być w Jagodyńcach, a przy końcu czerwca zapowiadał się wieczorek w Różanej.

Wieś polska ma tę zaletę, że tu łatwo przywyka się do ludzi. Dawniej, a nawet w pierwszej połowie naszego stulecia, domy szlacheckie garnęły do siebie biedniejszych krewnych, chętnie dzielono się chlebem i nigdy go nie brakowało. I pan Józef przywykł do Gucia, bo miał w nim powolnego słuchacza — nigdy mu nie oponował i zawsze towarzyszył w wycieczkach do szkółek.

Zapowiadały się dwie fety w okolicy. Niektóre z pań miały stroje zamówione z Warszawy i Lublina, ubożsi przygotowywali się w domu — krawcy damscy nie mogli podolać, maszyny do szycia pracowały bezustannie.

Pan Bolesław dokompletował czwórkę odmastków. Pani Bronisława oddała karetkę do fabryki, bo drzwiczki wciąż się otwierały i trzeba było ją odświeżyć. Nawet pan Antoni wezwał rymarza, kazał poprawić uprząż, mierzyny lepiej czyszczono, a na intencję balu dostawały po czwartym garncu owsa. Sukienka dla Zosi już była uszyta, różowa jak cukierek.

W Jagodyńcach w dniu trzynastym czerwca, jako w dzień patrona gospodarza, zebrano się całe sąsiedztwo. Dom był za szczupły, żeby mógł wygodnie pomieścić tyle gości. W cienistej lipowej aleji ustawione były stoły — sześćdziesiąt osób zasiadło do uczy. Gospodarz rad był, że choć raz w rok może przełamać się chlebem z sąsiadami. Z naszych znajomych byli wszyscy z Różanej, pan Gustaw, Tadeusz, Sta-

niślaw i Julian. Pani Bronisława od dwóch dni pomagała pani Antoniowej, to też lody były wyborne i torty udały się znakomicie. Ryby były z własnego stawu, a z piwnicy wydobyto buteleczyny starego miodu, zabytek dawnych lat. Nad wieczorem niby niespodzianie zjawiła się partya Czechów, a w sali znalazł się żyrandol z gałązek świerkowych, tak gustownie urządzony, że w kął wszystkie kryształły. Było to arcydzieło ogrodnika z Różanej. Jeśli jest muzyka i sala dobrze oświetlona, dlaczegoż nie potańczyć, kiedy gospodarze o to proszą — toż tańczono do białego dnia. Pierwsze tańce prowadził pan Bolesław, a kotyłiona i ostatniego mazura pan Stanisław. W karty tu nie grywano, nawet zielonego stolika nie było w domu. Zabawa szła wybornie.

Julian nie tańczył; wzrok jego najczęściej zatrzymywał się na Zosi, która ożywiona, uśmiechnięta, była uosobieniem zdrowia i wesołości.

Starsi panowie zebrani byli w pokoju pana Antoniego, a młodzież w antraktach zazierała tu na pa-pierosy.

— Jakże tam u pana Antoniego dobrodzieja w polu? Pan nigdy nie narzeka.

Pan Antoni jeszcze nie odpowiedział sąsiadowi, kiedy z drugiego końca pokoju doleciał głos zniecierpliwienia.

— Co tu pytać; źle jest wszędzie i basta. — Piszą nam recepty: „pracuj, rachuj i oszczędzaj“. Co mam rachować i oszczędzać, jeśli mi dają trzysta sześćdziesiąt rubli za wagon pszenicy, a zaliczki jak na żart sześćdziesiąt rubli. Co tu rachować, co tu oszczę-

dzać? Ale i na taką cenę kupca nie ma; trzeba jeździć, kłaniać się młynarzom, żeby raczyli kupić. Wierzcie mi panowie, żadnej rady na to nie ma i żadna recepta nie pomoże — przy takich warunkach większa własność zginąć musi.

Ktoś z obecnych temu zaoponował.

— Wszak oprócz produkeyi zboża są jeszcze inne gałęzie: hodowla bydła, owiec i wiele innych dochodów stworzyć można.

— A ja powiem krótko — przerwał pessimista — nie ma co się ludzić; żeby nie odrobina lasów i nie pożyczka w banku, dawno już poszlibyśmy z torbami.

Młodzi w milczeniu przysłuchiwali się tem narzekaniom. Wtem wszedł Stanisław.

— Panowie, zaczynamy mazura, już dano sygnał. Młodzi pospieszyli do pań.

Pan Antoni dla osłodzenia drażliwej kwestyi ponalewał sąsiadom miodu w lampeczki.

— Że nam chwilowo ciężko — rzekł — to nie sekret, ale o połowę byłoby lżej, gdybyśmy ograniczyli się do minimum w naszych wydatkach. Dziad mój siedział na tym kawałku ziemi, ojciec i ja sporo lat tu przeżyliśmy i żyć można. Nie stać na sajotę, nosić samodziął.

Sąsiad, który przed chwilą wyrzekał, przerwał.

— Ograniczyć się do minimum — pan powiada, ale w dzisiejszych czasach to jest niepodobieństwem; mamy teraz potrzeby, może i sztuczne, ale stały się one niezbędnymi. Oszczędność na sobie nas nie ocali; obracamy się ciągle w jednym kole i kończymy przegrówką: „pracuj, rachuj, oszczędzaj“. Nie na to ludzie

zdobyli tyle wiedzy, żeby mieli cofać się i udawać Robinsonów na bezludnej wyspie.

Były sędzia pokoju wmieszał się do rozmowy.

— Kazań nam szukać nowych dróg, nowych gałęzi; wiercie mi panowie, te nowe gałęzie to najczęściej blaga — wszystkie one nie zastąpią nam pszenicy. Oto alfa i omega naszych dochodów.

— Możeby spółki pomogły — ktoś zagadnął.

— A są już i spółki — odparł pessimista. — Mohylna jakoś się trzyma, ale „finis coronat opus“, obaczmy, jaki to koniec będzie z tą spółką.

— Jednak wobec tego co jest, a przepowiadają, że jeszcze będzie gorzej z cenami zboża, siedzieć bezczynnie niepodobna. Cóż nam wypada robić? — zapytał gospodarz.

— Może najlepiej wyjdzie ten, kto nie nie będzie robił — odezwał się sędzia. Znam wielu takich, którzy jeśliby cicho siedzieli w szlafroku i ciągnęli pasyansa, mniej by strat ponieśli, jak biorąc się do innowacyi. Nic nie rozumiejąc, posprowadzali drogie narzędzia, jak się pokazało niepraktyczne. Narzędzia poszły na strych i zamiast dźwignąć gospodarstwo, przybyło tylko minusów.

Pan Antoni nalał jeszcze po lampeczce i wznosił toast „*Szczoł łycha ne znaty*“. Chętnie go spełniono i starsi panowie przeszli do sali, gdzie tańczono. Mazur wrzał tu w całej sile. Zobaczywszy starą gwardyę, panienki zaczęły wybierać starszych panów do figur.

— I owszem, jeśli wam już młodszy danserami nie wystarczają, służyć będziemy. — Pan Józef przetańczył

z Zosią, pan Antoni z Wandą, nawet sędzia i sąsiad pессymista tańczyć musieli.

Przez okienice przezierало już światło dzienne, a biały mazur szedł ochoczo. Prowadził go Staś z panną Wandą. Nikt nie miał tyle pomysłu przy układaniu figur jak Staś, wszyscy rozumieli każde jego skinienie.

Słońce dobrze już dogrzewało, lecz nikt na to nie zważał. Nareszcie Staś zakomenderował: „kolo!“ i skończył się mazur.

Żegnano gospodarzy, w ganku muzyka grała marsza. Patrząc na ten szereg powozów, na służbę elegancką, trudno było domyśleć się, że to ci sami panowie są właścicielami tych zaprzęgów, którzy przy kieliszku biadali na złe czasy.

* * *

W Dąbrowie, oprócz znanego nam dworu i zabudowań gospodarskich, było kilkanaście chat zamieszkałych przez służbę dworską.

W jednej z tych chat zebrana była cała rodzina Demyda. On sam, stary bardzo, głowa rodziny, odchodził z tego świata. Staruszka żona, dwóch synów żonatych od dawna, córka zameżna, matka licznej rodziny, otaczali gasnącego starca. Ubrany w czystą grubą koszulę, miał twarz żółtą, okrytą bujnym zarostem; z oczu jego tryskały od czasu do czasu błyski, jakby budziło się życie, ale trwało to chwilę i znów starzec wpadał w zadumę. Coś szeptał, czasem wracał do dawno minionych chwil. Już ksiądz opuścił chatę, chory czuł się pokrzepionym słowem po-

ciechy i pogodzeniem się z Bogiem, otrzymał zasilek na podróż ostatnią i lżej mu było. Uniósł głowę na poduszce i zaczął opowiadać swoją młodość.

— Oj byłem ja kiedyś silny i zdrow, a konie jakie ja dosiadałem — sokoły! Bywało stary jegomość zawoła: Demyd, siadaj na „Bilozora“; lysy był zikraty, cztery nogi białe. Osiodłali w duch i marsz. Ośm mil bez popasu — jakich ja pieniędzy nie woził! A później, jak mularze robili, to jegomość mnie wybrał i jeszcze pięciu chłopców i kazał uczyć się mularki. Dwa lata murowali dwór; murmajster był czasem bardzo zły, ale niech jemu Bóg daje carstwo nebesne, uczył dobrze. Dwór zbudował on sumiennie.

I zadumał się starzec.

— Oł, jabym chciał jeszcze widzieć panicza przed śmiercią.

Spojrzeli po sobie otaczający. Starzec prośbę powtórzył.

— *Poprosit Tadzia do mene, skaził, szo ja choczu z nym pobaczyty sia.*

Poszedł starszy syn do dworu oznajmić prośbę ojca. Kiedy przyszedł Tadeusz, Demyd kazał wszystkim wyjść z izby. Z pół godziny trwała rozmowa. Demyd coś mu szeptał prawie do ucha. Wnuczki zaciekawione zazierały przezedrzwi i przykładały ucho, ale nie słyszały.

W parę godzin stary zaczął bredzić, myśl jego uparcie wracała do młodości. Czasem coś szeptał o koniach, to o mularce.

— *Tadzio maje skarby, neperebrannyi skarby — powtórzył po razy kilka — ale nekažit nikomu.*

Wyznanie to słyszane po raz pierwszy, jak iskra elektryczna rozeszło się po izbie; ktoś z sąsiadów usłyszał i wieść gruchnęła po całej Dąbrowie, że stary Demyd przed zgonem coś długo opowiadał Tadeuszowi i że w gorączce ciągle powtarzał o ukrytych skarbach we dworze.

W trzy dni za trumną z prostych desek postępowała rodzina, kobiety zawodziły; płacz ich ustawał tylko, kiedy dobrodziej czytał ewangelie. Za orszakiem pogrzebowym niesiono krzyż dębowy. Pod lasem spoczął stary Demyd i krzyż dębowy niemalowany roztoczył ramiona nad jego grobem.

Wieść o śmierci Demyda, mularza z Dąbrowy, rozeszła się w okolicy, szczególnie tajemnicze słowa, które wrywały się umierającemu, nabierały znaczenia jakiegoś wyznania o ukrytych skarbach, a widzenie się z Tadeuszem i dość długa rozmowa przed śmiercią potwierdzała domysły. Czy w tych gawędach była prawda, czy tylko wybujała fantazja, dość że nie minęło dwóch tygodni, a cała okolica podawała sobie z ust do ust najrozmaitsze szczegóły o skarbie w Dąbrowej. W sąsiednim miasteczku gwarzono, u Chaima dzierżawcy i u Spudyka tylko o tem rozprawiano.

Spudyk wrócił już na łono rodziny; przyniósł on z więzienia sto pięćdziesiąt rubli, które tam zarobił. Rejzia w jego nieobecności gospodarowała skrzętnie. Do szynku wieczorami schodzili się starzy znajomi, przyjaciele Petro, Ołeksy, Kuroczka, nawet Dobrynicz wstępował tu parę razy, pił wódkę i jadł rybę, ale wynosił się prędko, bo dymu tytoniowego nie znosił.

Pierwsze niepowodzenia kompanii nie zraziły— Kurczka nie zapomniał o poturbowaniu przez psy w Mohylnej.

Petro i Ołeksa bez porady Spudyka na własną rękę wypraw nie robili i szło im nieźle. Nie było bogactwa, ale na skromne życie wystarczało. Po kolei ubierali się w łachmany i w czasie odpustów i jarmarków żyli z ofiarności ludzkiej, ale nie gardzili i innymi sposobami, kradli, ale potrochu i ogłędnie. W Bałamotówce żadnych szkód nie robili i słusznie, bo tu zawsze po znojnym dniu mieli chwile spokoju i wypoczynku. Kiedy czasem u Pronozów zgadało się o Petrze i Ołeksie, że ciągle się włóczą, Filko ręką machał i dodawał: *Wouki nohi hodujut.* — Włóczęga dwóch gospodarzy nikogo nie razila -- wszyscy z nią się oswoili.

* * *

Całe sąsiedztwo wybierało się do Różanej na dzisiejszy wieczór tańczący. W Jagodyńcach u pana Bolesława na dziedzińcu panowało wielkie ożywienie. Służby zwijało się dużo. W stajniach czyszczono konie, porozwieszana uprząż świeciła bronzami.

Bolek gościł młodzież u siebie; na prędcie kończono pulkę, układano się, kto z kim ma tańczyć.

— Słyszeliście — odezwał się jeden z paniczów — jakąś bajkę o skarbach w Dąbrowie?

— Oni mają — odparł drugi — i bez tego skarbu. Mohylna to złote jabłko; pięćset morgów pszenicy jak las. Julian jeździł za granicę po walce; mówią że na młynie zarobią grosz na groszu.

— Jeszcze po kieliszeczku — zachęcał Bolek.

Sery, Chartreuse, Benedyktynka, kończyły kawalerskie przyjęcie.

Poczęto zaprzęgać konie. Panicze zaczęli się ubierać. Zachodziły po kolei czwórki paniczowskie. Najprzód zaszła czwórka burych z konopiasdami grzywami i ogonami podciętymi do kolan, konie rosłe, wybiegane, uprząż nowa, lekka, bałagulska, zdobyła ją kilka dużych brązowych kół, szerokie sprzążki, również brązowe na paskach, na których wisiały bałabany. Szaraban długi, węgierski, chłopcy ubrani po kozacku.

— Objedź! — odezwał się właściciel burych — tylko wolno.

Furman objechał w około dziedziniec i zatrzymał się. Z kolei na dany znak w ledziutkim powozie podeszły cztery złotoguiade o czarnych grzywach i ogonach. Były to karabachy, rasa zbliżona do perskiej. Jakby rozumiały, że tu idzie o pokazanie się, z powagą, z podniesionymi głowami przeszły gniadosze. Za nimi znowu przedefilował wóz długi. Stary furman do koni cmoknął — orczykowe przysiadły na zadach, lekko się wzniosły i popłynęły. I nic dziwnego, że tak pańsko się zaprezentowały: dwa konie były sławuckie, jeden ze stada Działyńskich, a jeden z Białej - cerkwi. Nakoniec zerwała się czwórka Bolka, nito ptaki, nito wicher; każdy koń innej maści; był masłowaty, złoty kasztan, myszaty i tarant na prawym orczyku. Była tu siła i lekkość, ładne kształty, wzrost dobry i równy temperament. Obeszły koło raz i drugi i panicze nacieszyć się nimi nie mogli.

— No, panowie, jazda, landujemy się do Różanej! — i za chwilę pusto było na dziedzińcu. Cały szereg powozów pomykał po drodze do Różanej.

Około szóstej popołudniu przed lekki portyk domu w Różanej zaczęły zajeżdżać powozy. Kto lubił konie, ten miał tu co widzieć. Były i anglo-araby, i lekkie stepowe — powozy odświeżone, służba w strojach odświętnych. Przesuwały się powozy po wyźwirowanej ulicy, panie wysiadały i znikwały w pokojach gościnnych.

W salonie przechadzała się Wandzia z Zosią, pan Tadeusz był przy nich. Niktby go dziś nie poznał. My, cośmy go najczęściej widywali w samodziale, dziś wyglądał jak skończony salonowiec. Do zgrabnej jego figury wybornie nadawał się strój balowy. Panna Wanda za coś go gromiła, on słuchał uważnie.

— Wszystko to będzie panu policzone, mamy z sobą rachunek nieskończony. Pan tak się droży, a ja do kotyliona trzem odmówiłam; sądzą, że z panem tańczę.

— Nie walczę i jak tego żałuję, trudno mi wypowiedzieć.

— Ja teraz wiem, że pan nie walczę, a tylko w jarze pokutuje.

Zosia nie miała odwagi spojrzeć na pana Tadeusza, czując, jak on musi być zgnębiony. Wpatrzona w bukiet, który jej ofiarował pan Józef, przeszła obok niego.

Z boku stało kilku panów, między nimi Gucio z miną zwyciężką; złote pince-nez kołysało się na sznureczku, trzewiki płytkie lakierowane z kokardami.

Cały strój jego wyszukany, kołnierzyki wyłożone a l'enfant, bo do angielskich sztywnych szyja Gucia nie nadawała się. Chociaż uważał się tu za domowego i prawie pewny był, że zostanie tu na zawsze, jednak niepokoił go Tadeusz.

— Nie rozumiem — rzekł do swego towarzysza — co to znaczy, że przed tym Tadeuszem wszyscy tak skaczą, nawet u pań ma wielkie łaski. Panna Wanda do niego się uśmiecha, a on chłodny niby opoka.

— Czyż nie wiesz, że to jedyny środek, żeby mieć łaskę u pań. Trzeba być zawsze chłodnym, obojętnym.

— To stare rzeczy — przerwał Gucio — dziś kobiety stworzyły sobie nowe ideały. Dla nich właściciel ziemski to za mało, tylko człowiek pracy, inżynier, lekarz, adwokat, oto ich bóstwa modne. Nic nie usłyszysz teraz, tylko „człowiek pracy“! To już naprawdę do znudzenia! Cóż nam pozostaje? „Być, czy nie być?“ — zawołał z hamletowskim patosem i ruszył do sali balowej.

Sala była biała, pilastry marmoryzowane, sztukaterie, które obiegały w około i rozety były bardzo gustowne, po środku kryształowy żyrandol i kryształowe świeczniki. Dwa piece w formie kolumn ubrane były drobnymi wazonami, na wierzchu stały draceny. W rogach salonu były klomby z ozdobnych roślin. Kilka dużych luster i lekkie meble, oto całe urządzenie.

O dziesiątej ukryta za klombami wyborna orkiestra grała walc „Na falach Dunaju“, pary unosiły się w tańcu. Panna Wanda w sukni białej, z kilku liliami wodnemi we włosach, promieniała blaskiem świe-

żości. Zosia w różowej sukience z polnymi kwiatami wyglądała jak dziecię wsi, świeża, uśmiechnięta, zwinna jak koteczka. W ogóle toalety pań były bardzo ładne. Tadeusz i Julian stali na uboczu.

— Dość dużo osób się zebrało — szepnął Staś, który przetańczywszy parę kręgów walca, znalazł się przy swoich.

Pierwszego mazura na tydzień przed balem wyprosił sobie Guccio u panny Wandy. Usta mu się nie zamykały — zachwycił się wszystkim.

— Śliczna zabawa, wszyscy weseli, zadowoleni, a jednak nikt nie odgadnie, co tu niejedno serce odczuwa, niejedna boleść kryje się w tej wesołości.

— Skąd panu przychodzą takie czarne myśli? — spytała go Wanda. Trzeba być wesołym, nie wolno dziś się smuć.

Ktoś wybrał pannę Wandę do figury i Guccio został sam.

— Dziś, albo nigdy! — pomyślał i gdy Wanda powróciła, prowadził dalszą z nią rozmowę.

— Trudno już więcej żądać; jaka pyszna sala, ile światła, jakie toalety. Pani starała się o strój bardzo skromny, a jednak zaćmił on wszystkie najpyszniejsze toalety.

— Czyż pan zna się na strojach pań?

— Nie wiem, czy się znam na szczegółach, ale harmonia kolorów, wdzięk, więcej mnie pociągają, jak koronki i brylanty.

Wanda spostrzegła, że Gustaw jest dziś w usposobieniu do zwierzeń. Chcąc mu oszczędzić przykrości, przeszła do rozmowy obojętnej.

— Przykro mi będzie za Różaną — ciągnął niezrażony tem Gustaw dalej. — Tak mi tu było dobrze, a najmiłsze chwile zawdzięczam — tu się skłonił przed panną Wandą — pani.

— Mnie? A toż za co pan mnie dziękuje? Nie rozumiem, jakie mam prawa do wdzięczności.

— Pani nie chce mnie rozumieć. Życ tu wśród tych ogrodów, w takim otoczeniu, a jeszcze mieć przed oczyma ideał, którego wymarzyć może tylko wyobraźnia poety, czyż nie ma za co dziękować? — zawołał z teatralną emfazą Gustaw. — Niech mi pani wierzy, do najszcześniejszych chwil życia zaliczam pobyt mój w Różanej.

Panna Wanda chcąc zakończyć niemiłą dla niej rozmowę, oświadczyła, że bardzo ceni jego przyjaźń i pragnie mieć w nim zawsze przyjaciela...

— Nie kończ pani! — przerwał Guccio. — Rozumiem, przeczuwam, co pani chce powiedzieć. Przyjaźń, szacunek — dobre to dla starsuszków, panno Wando. Długo panowałem nad sobą, tłumilem moje uczucia, wahałem się, bo straszną mi była myśl, że nie zostanę zrozumiany. Gotów jestem poświęcić wszystko, nawet moją swobodę. Dotąd jak ptak wolny, nie znałem przestrzeni. Rozkazuj pani, na jedno jej skinienie zostaję tu na zawsze w Różanej!

Nastąpiła ich kolej i taniec przerwał czule zwierzenia Gucia. Raz jeszcze w tańcu szeptem zapytał:

— Tylko jedno słowo: tak? lub nie?

Wanda poruszyła głową przecząco i na tem się skończyło. Swobodniej odetchnęła, kiedy mazur się

skończył; podała rękę jednej z przyjaciółek i przeszły na werandę.

Przyjaciółka Wandzi żywa, zawsze wesola, dziś była smutna, zamysłona.

— Czy wiesz Wandziu, że dziś ostatni raz w życiu tańczę.

— A to dlaczego?

— Bo wstąpię do klasztoru.

— Co się wam dziś stało? Pan Gustaw w mazurze ciągle mówił mi o smutkach, jakie się kryją wśród tej wesołości, a ty także mnie straszysz; nie rozumiem ciebie, moja droga.

Długo rozmawiały na werandzie i niejedna cicha łza spadła z oczu Wandzi.

W kilka miesięcy po balu krata klasztorna dzieliła przyjaciółkę Wandy na zawsze od świata. Było to takie miłe, sympatyczne dziewczę, że ile razy ją wspomnę, żal mi jej tak, iż wypowiedzieć nie umiem.

W jednym z dalszych pokoi było pełno mężczyzn starszych i trochę młodzieży. Zsunięto parę stolików i rozpoczęła się gra w bakara. Cicho tam było, tylko karty szeleściwały i jakieś urywane słowa dolatywały otaczających. Bolesław należał do grających; karta mu nie szła, był podrażniony, niecierpliwił się. Oprócz sześciuset rubli przegranych gotówką, już był winien do tysiąca rubli. Bankier zatrzymał się. Może zabastujemy?

— Sądzę — odparł Bolesław — że jeszcze gra nieskończona, mam prawo do rewanzu.

Otoczający stół z ciekawością przysłuchiwali się rozmowie, która zaczynała być drażliwą.

— Zapewne, rewanż się panu należy i zawsze dać go jestem gotów, ale nie dziś.

Stanisław i Julian byli tuż przy stołach gry. Staś szepnął słów parę do Juliana, ten skinął głową na znak zgody.

— Za pozwoleniem — odezwał się Stanisław — pan Bolesław dziś widocznie nie ma szansy; pozwolisz, żebym cię wyręczył, ale przede wszystkim uregulujemy rachunek.

Wy dobył pulares i podał bilet tysiącrublowy. Bankier skłonił się, położył pieniądze na stole i z uśmiechem zaczął ciągnąć talię. Pan ten był z daleka i mało był tu znany. Całe koło mężczyzn cisnęło się bliżej przy grających. Losy długo się ważyły — Staś stawiał grube stawki, bankier nie oponował — niespełna w pół godziny tysiąc rubli powędrowało nazad do pularesu Stasia. Gdy się wycofał, zmienili go inni amatorowie zielonego stolika. Sporo przechodziło tęczówek z rąk do rąk.

Bolesław ujął pod rękę Stasia i stanęli we framudze okna.

— Twoje poczciwe wdanie się wyprowadziło mnie z trudnej pozycji; jestem ci dłużny. Stawię się na każde twoje zawołanie.

Uścisnęli sobie ręce i znikli w tłumie tańczących.

Tańce coraz więcej ożywiały się; dwadzieścia par stanęło do koła, nikt nie czuł zmęczenia; jeden tylko Gustaw nie tańczył. Przechodząc koło Wandy, rzucił jej zabójcze spojrzenia; włosy miał w nieładzie, cała postawa pełna rozpacz. Staś, który prowadził ma-

zura, zlitował się nad muzyką, pozwolił jej wypocząć — nastąpiła pauza.

Panowie usunęli się do męzkich pokoi, wiele osób wyszło na werandę — było tu najmiłsze miejsce dla wypoczynku. Wygodne ogrodowe kanapki i krzesła, kilka różnokolorowych lamp, w dali gazon obszerny i woń kwiatów w okolo.

O drugiej godzinie panowie podając ramię paniom, przeszli na kolację.

Państwo Józefostwo mieli wybornego kucharza, znao Różanę z tej zalety, że tu nie truto gości. Stare przysłowie: „papką, czapką i solą, ludzie ludzi niewolą“, znalazło tu swe zastosowanie. Przy końcu kolacyi, kiedy w malutkich kieliszczykach podano starego węgryzna, wszyscy byli rozpromienieni. Gucio wierny swojej roli zdesperowanego, mało pił, prawie nic nie jadł. Pan Józef był uszczęśliwiony, że wino z agrestu, wyrabiane w Różanej, brano za Chateau d'Yquem.

Po kolacyi para za parą przeszli do sali balowej. Nastąpił kotylicion, kontredans i mazur biały. Bolesław po kolacyi odzyskał humor, nie odstępował kuzynki. Staś prowadził tańce, dekorowano go słusznie, bo jako danser był najpierwszy. Julian, który prawie nigdy nie tańczył, zdecydował się zamówić Zosię do ostatniego kontredansa. Mógł on być bardzo zacny, sympatyczny, ale danserem wyśmienitym nie był; wszystkie figury uszły, ale w szóstej wykonywał pląsy niezwykłe.

Gustaw snuł się jakiś czas po salonie zamyślony, ale widząc, że wszyscy bawią się wesolo i nikt na

niego nie zwraca uwagi, przeszedł do bufetu, kazał sobie podać dużą porcję pasztetu, wypił sporą lampkę koniaku i jadł za trzech. Kilka kieliszków węgierskiego w końcu poskutkowały na uspokojenie nerwów. Wrócił do sali balowej, jakby nic nie zaszło, pocieszał się, że panna Wanda ze wszystkimi tańczy, dla wszystkich jednakowo uprzejma — kto wie, może się jeszcze namyśli. Żeby jej ktoś wyłącznie asystował, nie mógł dopatrzeć — najwięcej miał na oku Tadeusza.

Chcąc osłodzić Gustawowi niepowodzenie, wybrała go panna Wanda do figury. Tańczył z życiem, a że trzeba było wypić za zdrowie swoich danserek, przykląkł i spełnił jednym tchem swój toast.

Po białym mazurze skończył się bal. Panie zmieniły toaletę — podano herbatę. Na dziedziniec zajeżdżały powozy. Zosia żałowała, że już wszystko tak prędko minęło; aż westchnęła biedaczka, kiedy wsia-dała do powozu.

Gucio niedługo rozmyślał; udał się do swojego pokoju, spakował tlómczek, zapalił cygaro i kiedy koło piątej popołudniu zebrano się w salonie, Gucia już nie było. Odjechał do najbliższej stacyi kolei.

* * *

W parę tygodni po balu rozpoczęły się żniwa. W Dąbrowie wesoło rozpoczęto zażynki, cała ludność zdolna do sierpa wysypała się w pole; ale niedługo trwała radość, nadciągnęły chmury od zachodu i rozpoczęła się słońca.

Już trzecią dobę deszcz nie ustawał, noc była ciemna, zegar w jadalni wybił pierwszą, kiedy ozwał się sygnał telefonu. Tadeusz w tejże chwili był przy aparacie. Stach wołał: „Ratuj! napad! ich dużo, nie podołamy!“ W pięć minut Tadeusz był gotów, porwał rewolwer, nóż duży myśliwski zawiesił na pasku i zbudził Jana.

— Pozamykać drzwi i nikogo nie wpuszczać; zbóje są na folwarku — i znikł w ciemnościach.

W tej chwili błysło światło niedaleko mieszkania Stacha. Kiedy Tadeusz tu się zbliżył, przy blasku płonącego stogu dojrzał co się dzieje. To nie kilku rzeźmieszków, ale cała banda tu gospodarowała. Parobcy już byli powiązani, zbóje brodaci, z poczernionemi sadzą twarzami, trzymali przy nich wartę. Nie byli to zwykli złodzieje, ale zbrojny napad. Pałący się stóg siana oświecał folwark i budynki. Przy folwarku stała warta. Niespostrzeżony przeszedł ku budynkom gospodarskim — tu spostrzegł powózki, które przywoziły zbójów. Co robić? Rzucić się samemu na całą bandę byłoby szaleństwem.

W tej chwili wypadł z mieszkania Stacha jeden z przewódców i kazał czterem zostać na warcie, dwóch na folwarku, dwóch przy koniach — „a reszta za mną do dworu!“ Kiedy herszt z całą kompanią wyruszyli ku dworowi, wtedy Tadeusz w kilkunastu skokach stanął na progu domu. Nie spodziewali się zbóje, co ich czeka, rozmawiali i śmiali się. W jednej chwili porwani zostali za łby, a tak silnie leb jednego spotkał się z drugim, że zwalili się na ziemię i rozległ się krzyk błagalny: „*Pomiluj, nie ubiwaj!*“

Tadeusz jednemu ze zbójów krępował w tył ręce, gdy wtem drugi, ochłonawszy z pierwszego strachu, podniósł się z ziemi. Tadeusz w okamgnieniu chwycił go za gardło, a parę boksów dobrze wymierzonych uspokoiło śmiałka. Mając drogę swobodną, wpaść Tadeusz do mieszkania i porozcinał powrozy, którymi skrepowani byli Stach, pisarz i kilku ze służby.

— Zarzucić co na siebie i dalej za mną, zbójce są już u mnie w domu! — zawołał.

Każda chwila była drogą. Szybko wybiegli na podwórze. Od dworu dolatywały strzały. Jan z chłopakiem kredensowym i ogrodnikiem trzymali się jeszcze obłążeni. Dom był cały oświetlony. Jan widocznie kapitulował — rabusie już tu gospodarowali na pięknie. Pożar, strzały rozbudziły całą osadę w Dąbrowie, zebrałi się ludzie w kupkę i z daleka przypatrywali się rabunkowi — zabrakło im odwagi zbliżyć się.

O ile przez okna dojrzeć można było, zwiżało się tam rabusiów nie mało. Jakiś głos donośny wołał:

— Tu on być powinien! szczelnie zrewidować strych! Szukajcie w lochu!

-Watażka przechodząc koło leżącego na ziemi Jana, kopnął go nogą.

— A ty stare próchno, strzelasz do ludzi jak do psów; ja ci psiawiro tego nie daruję.

Tadeusz ze Stachem stojąc ukryci pod skałą, radzili, co robić dalej.

— Sami nie podolamy!

Stach szepnął jednemu z parobków, żeby dostał się do osady, tam wskoczył na konia i dał znać do Mohylnej.

Rabusie przetrzęśli strych, wyłamali drzwi do lochu i znaleźli wino we flaszkach. Poodbijali szyjki i raczyli się niem do syta.

Nareszcie odezwało się sumienie w osadzie Dąbrowieckiej; kilkunastu odważniejszych z wielkim krzykiem zaczęło zbliżać się ku dworowi. Tadeusz niepostrzeżony dostał się do nich.

— Nie bójcie się, to śmiecie, chodźmy na nich razem!

Na krzyk odsieczy zebrali się rabusie na ganku; niektórzy już byli pijani. Padło kilka strzałów.

— *Won ot siudowa!* — odezwał się herszt — *a to wsich perestrelaju jak kaczki! Poszli po domam, a nie, to puszu wsich z dymom!*

Obawa, że mogą zostać bez dachów, wstrzymała zapal odsieczy — zawahali się. Pomimo, że zbóje mieli przewagę i na folwarku i we dworze, jednak kupa ludzi, zachowujących się wprawdzie biernie, ale mająca na oku opryszków, drażniła ich i niepokoila potrochu.

— *Won z wiaj!* — jeszcze raz odezwał się głos watażki, ale groźby te nie skutkowały i dalej szła walka na słowa. Urągano sobie wzajemnie, ale czynnego działania zaniechano.

Za to w Mohylnej nie próżnowano. Skoro posłany wpadł do dworu, w kwadrans już wszyscy byli na nogach. Mateusz i Pawełek kulbaczyli konie, Wacław rozporządzał energicznie. Stajenni, kucharz, ogrodnik z dwoma uczniami dosiadali koni, parobcy usadowili się na dwóch wozach, a równocześnie dano znać

miejscowemu staroście. Nikt tak nie związał się jak Pawełek, on najwięcej zachęcał do pospiechu.

Rabusie podprowadzili powózki, żeby zabierać łupy — stary Jan jęknął, widząc jak wynoszono srebra, futra i garderobę pana.

Przybyły obłocony, cały zmoknięty parobek szepnął Tadeuszowi:

— *Z Mohylnoj wże idut!*

— *Skoro budut?* — spytał Tadeusz.

Chłopak położył się na ziemi, przyłożył ucho i nadsluchiwał.

— *Hude! idut, wże nedaleko.*

W tejże chwili Tadeusz, Stach, a za nimi odważniejsi przyskoczyli do wyładowanej powózki. Powstał krzyk i zamęt, wskutek czego wypadł herszt z domu z nożem w rękę, a za nim reszta zbójów. Tadeusz strzelił w ten tłum, Stach z widłami rzucił się na przód. Zawrzała bójka. Trudno było w niej odróżnić, kto swój, kto wróg.

Kiedy już się zdawało, że zbóje biorą górę, rozległ się tentent konnych i kilkunastu jeźdźców otoczyło mieszkanie. Z wozów wyskakiwali Mohylańce. Tadeusz ranny, nie opuszczał jednak placu. „Trzymajcie wozy!” — krzyknął, i w jednej chwili wozy były w rękę odsieczy. Ośmieleni Dąbrowianie rzucili się teraz na pomoc.

Już dniało — opryszki rozbiegli się w różne strony, tylko ośmiu przytrzymało. Powiązanych zamknięto do lochu i postawiono wartę, za rozbitkami ruszono w pogoń. Pawełek sadził na koniu, rozstawiał konnych

na przesmykach. Tadeusz zajął się rannymi, wysłano też posłańca do Zacisza i po lekarza.

Stary Jan bardzo był osłabiony, miał zranioną rękę i nadto był zbity. Stach miał pokaleczone ręce od powrozów. Ledwie słońce się ukazało, nadjechał pan Józef z Różanej. Przeraził go widok tego zniszczenia i tylu rannych. Tadeusz błady, zmęczony, usta miał spieczone, całe ubranie poszarpane, zakrwawione.

W pół godziny przyprowadzili jeszcze pięciu rozbitków; byli to: Dobrynicz, Kuroczka, Oleksa, Petro, a za nimi Spudyk dreptał ostatni.

Kiedy nadjechał lekarz z Julianem, pan Józef opuścił Dąbrowę. Opatrywano rannych, z których dwóch odniosło niebezpieczne, ośmiu zaś lżejsze obrażenia. Ośmnastu zbójów dostało się w ręce sprawiedliwości. Hersztami byli Dubow i Dobrynicz z synem. Oprócz znanych nam z więzienia, było jeszcze kilku z Besarabii z pod Chocima. Z żydów jeden tylko Spudyk, który wyrzekał, że wdał się z takimi awanturnikami. „To proste rozbójniki“ — powtarzał.

Kiedy kompania ta prowadzoną była do powiatowego więzienia, wypadł im nocleg w lichej mieścinie. Zamknięci w starym, opuszczonym klasztorze, pomimo że drzwi były zamknięte, okna i drzwi całe, nazajutrz z więźniów śladu nie zostało. Kuroczka niemało dopomódz musiał do tej ucieczki. Pomimo poszukiwań ślad o nich zaginął.

* * *

Upłynęło trzy tygodnie od tego napadu. Stary Jan przesuwiał się po pokojach z ręką na temblaku. Pod jego okiem stolarze i ślusarze uporządkowali połamane sprzęty. Zegar, termometr i barometry nie były uszkodzone, a szafa gdańska tak misternie została poprawioną, że nikt by na niej żadnego obrażenia nie dojrzał. Cała załoga wracała do zdrowia, tylko wieść o ucieczce Dubowa i jego kompanii jak zmora trapiła mieszkańców Dąbrowy.

W pogodny wieczór Tadeusz dosiadł konia i nie obejrzał się jak stanął przy mogile. Oddał konia chłopakowi, a sam wszedł na jej wierzchołek. Nie wyglądała ona tak dziko, jak przed laty. U stóp jej zasadzono kilka białych akacyj i wierzb płaczących, chwasty były skoszone, a na wierzchołku stała kamienna ławka. Tu usiadł Tadeusz i myśli jego utonęły w przeszłości. Nie bawiły go w tej chwili rozległe widoki — on tęsknił. Część najpiękniejszą życia spędził jak tułacz, nieraz w biedzie; daleko od swoich, marzył o stronach rodzinnych — nareszcie wrócił do swego kawałka ziemi, ale i tu nie zaznał wypoczynku — bez wytchnienia pracował sześć lat.

— Po co, na co — nieraz pytał siebie — te zabiegi, jeśli jeden najazd opryszków może mi wydrzeć owoc tyloletniej pracy? Poczucie obowiązku... poświęcenie... Czyż to nie oklepane frazesa, zużyte, pospolite! Któż nimi nie szafował, póki wreszcie i najnaiwniejsi nie przestali w nie wierzyć.

Długo tu przesiedział pogrążony w smutku. Znać gorzkie o władnęły go myśli, bo uśmiechnął się boleśnie i zrobił ruch, jakby je chciał odpędzić.

— Wszystko co szlachetne, piękne, pozostanie zawsze prawdą wielką, niezmienną.

Bezwiednie wymówił to głośno, szybko zeszedł na dół, dosiadł konia i skierował się ku Różanej.

Jakże miło był tu witany, jakby u najbliższej rodziny. Panie z całą troskliwością wypytywały o jego zdrowie. Musiał opowiadać szczegóły napadu, którym cała okolica była zaniepokojona.

— Dotąd sądziłyśmy, że podobne napady zbójów spotkać można było tylko w starych powieściach, a tu taka blizka rzeczywistość. Okropne przejścia!

— Nie uwierzy pan — dodała pani Józefowa — jak byliśmy zaniepokojone. Dzięki Bogu, że tak się wszystko skończyło, mogło być gorzej.

Tadeusz dziękował. Był on tu obcym, a doznał tyle współczucia, jakby u swoich najbliższych. Niepostrzeżenie zbiegł mu ten wieczór jak jedna miła chwila. Z takich chwil gdyby utkać życie człowiekowi, to chyba stworzyć raj na ziemi.

I często Tadeusz rzucał książkę lub pióro i myśl jego leciała daleko za bór dębowy, szybowała po równinach i zatrzymywała się w Różanej.

— Ona taka piękna, taka dobra i szlachetna — powtarzał.

Ktoby mógł zajrzeć do głębi jego serca, dojrzałby jaka tam toczyła się walka, ile on cierpiał. A ludzie mieli go za szczęśliwego. Po cichu szeptano, że odmurował skarby w lochach pod skałą. Niedarmo stary mularz przed śmiercią z nim się widział i odkrył mu tajne schody.

Pan Gustaw, jakby nic nie zaszło, wpadł niespodzianie do Różanej. Pokój jego nie był zajęty, służba zawsze była mu rada, bo był dla niej hojny. Pokój był wygodny, dobre łóżko i wyborny materac, słaba strona Gucia. Neseser podróżny ustawił na stoliku, na drugim leżały gazety; zapalił cygaro i czuł się jak u siebie. Rad mu był pan Józef. Z panną Wandą nie rozpoczął już rozmów o uczuciach — w marzurze wypowiedział wszystko, co miał do powiedzenia.

W parę dni towarzystwo z Różanej miało odwiedzić państwa Antoniostwa, wezwano też z sobą Gucia. W Jagodyńcach przy herbacie panie ułożyły projekt zwiedzenia Dąbrowy i Zacisza. Tyle słyszały pochwał od pana Józefa, ile razy wracał od pana Wojny, że nakoniec postanowiono obaczyć tę pustelnię.

— A mnie panie wezmą z sobą? — wpraszal się pan Gustaw.

— Ależ na pana najwięcej liczymy, że pan nam towarzyszyć będzie — odpowiedziano, i stanęło na tem, że państwo Antoniostwo i wszyscy z Różanej na drugi dzień będą w Dąbrowie.

Dzień był ciepły, pogodny, jak to często bywa w początkach jesieni, kiedy słońce łagodnie ogrzewa ziemię. Wanda i Gustaw konno, a całe towarzystwo powozami wjeżdżali pod wieczór do Dąbrowy. Kiedy zbliżyli się do jaru okrytego lasem i przed wzrokiem ich roztoczyła się znana nam dolina, przecięta rzeką, o brzegach najeżonych skałami, wolno przesuwały się powozy, żeby przyjrzeć się temu uroczemu ustroniu.

Tadeusz ich oczekiwał. Odebrał on z rana zawia-
domienie od Gustawa, że miano go najechać.

Po chwilowym wypoczynku zaproponował Tadeusz spacer niewielki.

W kilku załomach roztaczały się jary, na jasnej zieleni łąk malowniczo odbijała ciemna zieleń liści poważnych dębów.

Pan Józef nie mógł nacieszyć się olbrzymim wzrostem drzew, zamyśliwszy się nad ich wiekiem.

— Co do wieku tych dębów — objaśniał Tadeusz — mogę dać wiadomość dokładną. Metryka ich jest u mnie. Las ten był zasiany przez mojego przodka na pamiątkę powrotu z szczęśliwie odbytej wyprawy wiedeńskiej.

— Śliczna pamiątka — przerwał pan Józef.

— Wszystko minęło, jedno drzewa zostały i świadczą o przeszłości, chociaż trzeba przyznać, że tradycja odsieczy tkwi głęboko w pamięci zachodu i dotąd Sobieski żyje jako bohater najpopularniejszy w pamięci ludów chrześcijańskich.

— Nie dziwię się — rzekł pan Józef — że tak kochasz Dąbrowę, bo tu do pamiątek rodzinnych wiążą się i wspomnienia lat dziecięcych.

Rozmowa coraz więcej się ożywiała i coraz dalej zapuszczano się w las. Kiedy wyszli na najwyższy szczyt jaru, spostrzegli kilka wygodnych ławeczek. Nie można było wybrać ładniejszego miejsca dla wypoczynku; w oddali widać było dolinę, okoloną skałami, rzeka z daleka połyskiwała jak srebrna wstęga — z pomiędzy skał wyzierał domek. Panie były zachwycone. Pani Józefowa czując się trochę zmęczoną, zaproponowała powrót do domu, Tadeusz jednak uprosił, żeby raczyli przejść jeszcze kilka-

dziesiąt kroków, wszyscy więc zeszli w dół i znaleźli się w pasiece. Na polanie, otoczonej lipami, wśród drzew owocowych rozstawione były ule ramowe. Na tle lip białała chata pasiecznika. Zacisznie tu było, a zapach miodu rozlewał się po pasieczysku. Na uboczu pomiędzy rozłożystymi lipami stał namiot turecki. Tu oczekiwali Stanisław i Julian, a powitawszy całe towarzystwo, wprowadzili panie do namiotu, wysłanego dywanem. Stary saski serwis ubierał stół, na którym zastawiono do herbaty.

Ledwie zmrok zapadł, zabłysły w lesie ognie. Po herbacie większa część towarzystwa opuściła namiot.

Las oświecony ogniami wyglądał tajemniczo, nęcąc do swego wnętrza. Przy najbliższym ognisku wszyscy się skupili. W namiocie została Wanda z Zosią i Tadeusz. Przez uchyloną zasłonę widać było płonące w lesie ognie, w które z jakąś tęskną zadumą wpatrywała się Wanda, która wreszcie pierwsza przerwała ogólne milczenie.

— Historię pańskiego lasu już znamy, lecz ciekawe byłyby dzieje tego namiotu; gdyby potrafił przemówić, opowiedziałby nam niejedną rzecz ciekawą. Przed dwustu laty o tej porze jakaś branka może tonęła tu we łzach, oderwana od swoich, od rodziny.

Objęła wzrokiem namiot i dojrzała wyszyte na nim jakieś napisy.

— Jakbym rada wiedzieć, co ten napis znaczy.

— Sądzę — odezwał się Tadeusz — że napis ten to sentencya znana na wschodzie: „Jeśli mowa jest srebrem, to milczenie złotem.“

— To zupełnie jak u Kamedulów — westchnęła Wanda. — Ale tu trochę chłodno, nieprawdaż Zosiu?

Wstała i podała rękę towarzysze, poczem przeszli do najbliższego ogniska, gdzie złączyli się z resztą towarzystwa. Chłód jesiennego wieczoru przenikał coraz więcej, pomyślano zatem o odwrocie.

Kiedy wracano do domu, jakaś niewidzialna ręka rozpalala przed nimi ognie. Cały las jaśniał światłem, wspaniały przedstawiając widok, a dwóch kochaków z kagańcami poprzedzało powozy. Przy pożegnaniu czuł Tadeusz, że Wanda była dla niego chłodna, obojętna.

Życie Tadeusza było czyste; nie kosztował on szumnych orgii, jakie się zdarzały w życiu uniwersyteckiem, później pracował szereg lat bez wytchnienia, a zbliżywszy się do sąsiadów z Różanej, pokochał Wandę. Stało się to bezwiednie prawie; pokochał ją, bo ubóstwiał co piękne, szlachetne. Dotąd jednak nie zdradził się z swoim uczuciem, nad któremi panowała nieugięta jego wola, zahartowana w nieszczęściu. Kochał, a cierpiał, walczył z sobą, obawiając się wypowiedzieć to, o co upominało się jego serce.

* * *

Julian dopraszał się u państwa Antoniostwa i w Różanej, żeby dotrzymali obietnicy i raczyli odwiedzić Zacisze.

— Jedźmy, Wandziu — namawiała Zosia — może i tam dowiemy się o jakiej sentencji wschodniej. Nie mogę zapomnieć tej chwili uroczystej, kiedy to

z taką powagą wygłoszono: „Milczenie jest złotem.“ Pyszni są ci panowie z temi sentencyami. Jedźmy, Wandziu; przejrzymy się w tych zwierciadlanych stawach, będziemy pływać po tych jeziorach. — Objęła Wandę i zaczęła z nią walcować. — Ale pamiętajmy to sobie: „Milczenie jest złotem.“ I my będziemy jak oni uroczyści, poważni — chociaż śmiać mi się chce, gdy sobie przypomnę tę sentencyę.

— Pojadę, pojadę; dla ciebie to zrobię, moja ty rusalko.

I znowu to samo towarzystwo, które zwiedzało Dąbrowę, znalazło się w Zaciszu. Tu na dużym, czystym stawie wiosłował Julian, obwożąc swoich gości, treściwie opowiadając im o wodnem gospodarstwie. Pięć stawów jak zwierciadła roztaczały się jedne obok drugich, groble osadzone były wierzbami koszykarskimi, z wody wyglądały mnichy, rodzaj śluz. Kiedy podpłynęli do mnicha, na dany znak wyjęto parę deszczulek, a woda z łoskotem i hukiem odpływała pod groblą, siatka metalowa zaś nie pozwalała uchodzić rybom ze stawu. Brzegi stawu zarośnięte były manną wodną, którego ziarno służyło za pokarm dla ryb.

Łodzie przybiły do wyspy i tu wylądowano. W gęsto zwartych szkółkach wierzby koszykarskiej widać się uliczka, a na jej końcu widać było domek o czerwonym dachu, mieszkanie nauczyciela koszykarstwa. Panie oglądały bardzo udatne wyroby uczniów tu-tejszej szkółki. Dalej za wyspą ciągnęły się łąki i szkółki drzew szpilkowych.

Po zwiedzeniu szkólek, wrócono na łodziach do ogrodu i obejrzano warsztaty ślusarskie. Pracowało tam dwóch wychowawców Juliana i trzech uczniów. Sprowadzano rozmaite podręczniki i uczono rysunków. Stosunek z podwładnymi bardzo był miły – nie byli to płatni najemnicy, ale uczniowie, szanujący swojego nauczyciela.

W dużym pokoju Juliana przygotowano herbatę. Paniom bardzo się podobał album, oprawiony w korę z brzozy kardskiej, mieszczący w sobie dużo wspomnień. Były tam autografy, pejzaże, portrety, typy Buriatów, Jakutów, ich mieszkania i uzbrojenia. Panów zajęła bardzo kolekcya broni.

Na żądanie pana Antoniego Julian pokazał plany i księgę rybnego gospodarstwa. Pięć stawów zarybionych karpiami i linami, zajmowało dwadzieścia morgów przestrzeni. W najpłytszym stawie ryby się rozmnażały, w trzech największych rosły, a w najmniejszym i najgłębszym był zimochów, gdzie przechowywano ryby przeznaczone do sprzedaży. Najciekawsze były rezultaty: od pięćdziesięciu do sześćdziesięciu rubli netto dawał morg ziemi zajęty pod stawy.

Pan Antoni nie mógł utaić swojego zdziwienia. On, który pamiętał tę pustkę tak ubogą, zdawało się bez przyszłości, dziś po kilkunastu latach pracy jakże odmiennie się przedstawiała! Rowami osuszone łąki zasiano trawami, zagajniki drzew szpilkowych urozmaicały monotonną równinę.

— Ja stary gotów jestem pójść do ciebie na praktykanta; u nas pokoleniami całymi pracowano, a mniej zrobiono, niż tu — rzekł w końcu.

Julian rozpromieniony uściśnął rękę pana Antoniego.

Zosia oglądała presse-papier przywieziony z Ekaterymburga.

— Poszukajmy Wandziu, może tu jest wryta jaka sentencya. Pewno musi być, tylko dobrze się wczytać.

Pan Julian spostrzegłszy, z jakim zajęciem panie przypatrywały się kamieniom, zapytał, co tam dojrzały.

— Admirujemy te maliny, tak artystycznie wykończone — odrzekła Zosia.

Julian ją prosił, by raczyła przyjąć tę bagatelkę jako wspomnienie pobytu w Zaciszu. Zosia się wahała, ale pani Antoniowa podziękowała Julianowi i pozwoliła dar przyjąć. Julian był uszczęśliwiony.

* * *

Wanda uprosiła panią Antoniewę, żeby Zosia została parę dni w Różanej. Odbywały razem spacer, wieczorami czytywały i grywały na cztery ręce. Często rozlegał się wesoły śmiech Zosi, ale wnet przybierała minę poważną, przypominając, że milczenie jest złotem. Za to bytność w Zaciszu mile zachowywała w pamięci, przypominając sobie postać Juliana energiczną, prawdziwie mężką, kiedy silnem ramieniem wiosłował i obwoził ją po swoich wodach.

W Różanej już nie było kwiatów, zabrakło ich woni, tylko kilka klombów floksów jesiennych zdołały jaskrawymi swymi kolorami obszerne gazon. Za to drzewa w parku mieniły się różnokolorowymi

liśmi, zda się złoto i purpura uwieńczyły korony drzew. Gazony na nowo pokryły się świeżą zielenią. Popołudniu, kiedy wszyscy zebrani byli na werandzie, nadjechał Tadeusz. Pan Józef wybierał się do swoich szkółek, bo miał tam dziś dużo zajęcia. Zosia zapraszała się, żeby i ją wziął z sobą, Wanda i Tadeusz przyłączyli się do nich, i tak we czworo wyruszyli do szkółek, które leżały za stawem. Minęli groblę i znaleźli się przed drucianą siatką, malowaną na zielono. Otworzywszy bramkę, weszli do królestwa pana Józefa. Tu on zwykle pracował, tu rządził wszechwładnie. Obszerny plac otoczony był od północy i zachodu świerkami. Mieściły się tu szkółki, inspekta, cieplarnia, loch na owoce i mieszkanie ogrodnika. Sześciu chłopaków, ubranych w jednakowych strojach, pracowało pod komendą starszego ogrodnika. Rzadko gdzie spotkać można było taki porządek, jaki tu panował. Szkółki utrzymane były wzorowo, narzędzia ogrodnicze wypróbowanej dobroci.

Kiedy po szczegółowym obejrzeniu i objaśnieniach pana Józefa opuszczali szkółki, otrzymały panie piękne bukiety z róż. Pan Józef podał rękę Zosi, Tadeusz prowadził Wandę. Słońce chyliło się ku zachodowi. Wanda zdjęła kapelusz; twarz jej jaśniała pogodą, w oczach przebijało tyle szczerości, że Tadeusz nie mógł się nasycić widokiem tej cudnej postaci, a jak miłe sprawiało mu uczucie jej dotknięcie, gdy szła wsparta na jego ramieniu. Z żalem zbliżał się ku werandzie, gdzie ich spotkał i powitał pan Bolesław.

— Szukałem państwa w ogrodzie — zawołał — ale nadaremnie. Słyszałem, że kuzynka odbywała dalekie spacery; jakże żałuję, że nie mogłem należeć do tych wycieczek.

Już słońce zaszło, ale tak było ciepło, że część towarzystwa została na werandzie. Bolek usiadł przy kuzynce, a wspominając o wieczorze w Różanej, zapewniał, że była królową balu i że wszyscy to przyznali.

— Niegrzeczny dziś kuzynek — odparła mu Wanda — powtarza oklepiane komplementa.

— A kuzynka goni za oryginalnością — przyganiał jej Bolesław. — Niestety nie każdemu udaje się zostać bohaterem i to w walce z najpospolitszymi rabusiami. Napad nocny — to cały dramat. Czasem niewielkim trudem zostać można bohaterem.

Wanda milczała. Bolek się niecierpliwił, drażniła go ta obojętność.

— Muszę posłać mojego arendarza, żeby mi najął jakiś młyn i wtedy urosnę także na wielkiego ge-szefciarza, wtedy stanę wysoko w opinii. A może po jakim dziadku odmuruję w lochu skarby — muszę spenetrować stare moje piwnice.

Wanda podniosła na Bolesława wzrok swój poważny.

— Nie poznaję pana, co panu jest, panie Bolesławie? Nie rozumiem, co to wszystko ma znaczyć.

— Czyż kuzynka dotąd nie mogła tego widzieć, że całą moją nadzieję, szczęście, przyszłość widzę w pani?

— Ależ panie Bolesławie — zawołała z niechęcią Wanda — po raz pierwszy dowiaduję się o tem, co dziś usłyszałam!

— Pani! kuzynko! — błagał Bolesław — zostań na chwilę, wysłuchaj mnie. Przyznaję, że jestem grzeszny, lekki, dużo zawiniłem w życiu, lecz w imię mojej miłości ku tobie zaklinam cię, błagam, nie odpychaj mnie.

— Panie Bolesławie — rzekła Wanda poważnie — nie mogę odplacić się panu wzajemnością, bo nie kocham pana.

— Spodziewałem się tego — zawołał ponuro Bolesław — przychodzę za późno. Ale pani jesteś dobra, szlachetna, nie zechcesz mej zguby, zostaw mi choć cię nadzieję.

Wanda milczała.

— Więc wszystko przepadło!... Wandziu! — po raz pierwszy i ostatni w życiu ośmielałem się tak odezwać do ciebie — bądź zdrowa!

Wstał i żegnając dodał:

— Nie mam serca cię potępiać... niech ci Bóg przebaczy — i znikł z Różanej.

Po powrocie do domu Bolesław wpadł w stan gorączkowy. Służba chodziła na palcach, widząc zły humor pana. Długo w noc pisał, nad ranem dopiero udał się na spoczynek. Nazajutrz pojechał do stacyi kolejowej. Parę tygodni nie było go w domu, nakoniec rozeszła się wieść, że Bolesław się żeni. Czy bogato? zapytywano w okolicy. Rozpowiadano sobie, że panna posażna, jedynaczka, wieś piękna ukraińska i lasy, niedaleko od Cukrowni.

Bolesław wracał na krótko do domu, do Różanej nie zajrzał.

Przysłani z Warszawy rzemieślnicy porządkowali dom, przybudowano werandę, salonik wysłano dywanem, niziutkie fotele obite były jedwabną pąsową materią, takiegoż koloru były portiery. Jadalny pokój z piecem majolikowym w stylu starogermańskim urządzony był gustownie, reszta pokoi odpowiadała dwóm głównym i tworzyły całość pełną harmonii. Było to wszystko niewielkie, szczuplutkie, ale budowniczy potrafił wyzyskać wszystko, żeby stworzyć schronienie zaciszne i gustowne. Bolek pieniędzy nie żałował. — Nowa karetka i powóz już były sprowadzone — urządzał się według starych tradycji i uchodził za szczęśliwego i zadowolonego. Często jednak się zdarzało, że w nocy otwierał okno, z którego widok był na park w Różanej. Bolesław długo wpatrywał się i myślą gościł wśród tych klombów, gdzie widywał kuzynkę o jasnym czole i pogodnych oczach, pełnych dobroci, godzinami całemi rozmyślał o niedoszłym szczęściu.

— Bądź zdrowa, Wandziu — szeptał. — Jak ja ciebie kochałem! Czem zawiniłem, żeś mnie zgubiła...

Żenił się, ale czy to było przywiązanie, czy chęć okazania Wandzi, że o niej zapomniał? Zrobił ten krok jak w gorączce. — Oprócz tego postanowił pokazać Tadeuszowi, któremu niepowodzenia swoje przypisywał, że on może mieć i bogactwo i wzorowe gospodarstwo i potrafi zrobić w jednym roku to wszystko, nad czem inni pracują całe lata.

I część projektów przychodziła już do skutku. Miał narzeczoną, domek milutki, powozy i służbę w komplecie. Teraz miał zaprowadzić płodozmian na całej przestrzeni i sad na wielką skalę. Pożyczone w Towarzystwie kredytowym pieniądze szybko ulatniały się.

— Pal dyabli pieniądze — powtarzał przed przyjaciółmi. — Nie rozumiem życia ślimaczego.

Sypał pieniędzmi, żydzi tytułowali go jasnym panem, kredyt miał dotąd łatwy.

— Bolek już nie nasz — powtarzali towarzysze.

Czasem zbierali się do Jagodyniec i wtedy była biba na wielkie rozmiary. Panna Wanda wiedziała o wszystkim; usłużni sąsiedzi, choć w Różanej nie cierpiano plotek, od niechcenia nie omieszkali podczas rozmowy zakomunikować, jaki Bolesław szczęśliwy, jaką ma miłą narzeczoną i jak ubrał domek dla swojej przyszłej. Arendarz zaś Bolesława jak truflarz wietrzył, gdzie można było zarwać w okolicy jaki kapitalik na lokacye u dziedzica, który się żeni tak bogato. Na wzór Dąbrowy sprowadzono sikawkę i polewano nią gazon przed domem. Wszystko było w pogotowiu, klateczka tylko oczekiwała, żeby ptaszek do niej przyleciał.

* * *

W sąsiedniej mieścinie przed domem lichwiarza stał wózek Bolesława. Od dwóch godzin bawił on u Lejby Berlinberga. Znana to była figura w całej okolicy, a biada temu, kto raz dostał się w jego

łapy. Odzierał bez miłosierdzia. Bolek w powabnych kolorach kreślił przed nim dobra swojej przyszłej.

— Dość panu Lejbie powiedzieć, że w tych lasach ukraińskich w lipcu taki cień, że kataru można dostać.

— Na co kataru? — powtarzał lichwiarz. — Niech pan będzie zdrow i pędzej się żeni.

Nałożywszy okulary, wyjął zwój weksli i kilka rewersów Bolka. Aż zimno mu się zrobiło, kiedy zbliżała się chwila rachunku sumienia, obliczenia procentów co do ćwierci kopiejki, a później wyrachowywanie procentów od procentów, zaległych za uplynione miesiące i dni. Była to słabość Lejby, te drobniagowe wyliczania z dokładnością ściśle matematyczną.

Pomimo całego panowania nad sobą, zżymał się Bolesław, bo przeczuwał, że ta operacya kosztować go będzie dużo zdrowia i czasu. Wypraszał się od ostatecznego obliczania i przyrzekał, że zaraz po ożenieniu się skończy rachunki i odda mu całą należność, byle go dziś zwolnił; ale lichwiarz był nieublaganym i po godzinie Bolesław kaligrafował nowe weksle z bardzo uciążliwym dodatkiem co do terminu: miał płacić na pierwsze zapotrzebowanie. Taki cyrograf w rękę takiego Lejby był groźny.

Nareszcie weksle zostały podpisane. Bolesław opuścił lichwiarza i wsiadł do wózka. W głowie mu szumiało, usta miał spieczone. Pomimowoli wrywały mu się słowa: „gałgan, lajdak, zdierca“ — ale do kogo udać się, gdzie się zaratować? Żeby pędzej zapomnieć o nienawistnym Lejbie, kazał pospieszać

furmanowi i popędził wyciągniętym klusem do najbliższej stacyi kolejowej.

* * *

Tadeusz co trzy miesiące zapraszał do siebie spółników na sesye i dziś był zjazd u niego. Tadeusz przedstawił stan bieżący interesów. Dotąd składało się wszystko pomyślnie. Mohylna dawała dobre urodzaje, młyn przynosił znaczne zyski i dodatkowe gałęzie gospodarstwa opłacały się nieźle. Niedrogo nabyte akcyje cukrowni dawały trzydzieści procentów. Pomyślny stan interesów zyskiwał coraz więcej uznania w okolicy. Tadeusza zarzucano listami z propozycjami brania dzierżaw, kupna lasów, pożyczki — było w czem wybierać.

Julian wniósł, że zakres działania spółki możnaby rozszerzyć. Staś zgadzał się na wszystko, byle nie próżnować, coć robić; jego żywy temperament obawiał się jednego tylko, żeby nie siedzieć na miejscu; to też dotąd Stanisław ciągle był w podróży w interesach młynarskich. Narzędzia, lokomobile, maszyny w młynie stanowiły wydział Juliana, a Tadeusz był ogólnym administratorem. Pomimo, że był u steru spółki, nie narzucał się ze swoim zdaniem, obawiał się, żeby go nie posądzano o arbitralność; więc kiedy Julian i Stanisław wypowiedzieli swoje poglądy, wtedy dobył z teki szkic projektu i prosił towarzyszy, żeby zechcieli go wysłuchać.

— Przed trzema laty — czytał Tadeusz — przystąpiliśmy do dzierżawy Mohylnej; pomimo że ceny

zboża nie były zbyt wysokie, mieliśmy szesnaście procentów od kapitału. Dwa lata temu zadzierżawiony młyn daje dwadzieścia cztery, akcyje cukrowni dały trzydzieści procentów. Cały fundusz spółki w danej chwili stanowi czterdzieści pięć tysięcy rubli. Przy takim stanie interesów zakres naszej spółki może być rozszerzony; proponowałbym, żeby każdy z nas dobrał jeszcze jednego spółnika z wkładem siedmiu tysięcy pięćset rubli, byle gwarantował słowem swoim i wkładem, że jego kandydat odpowie ułożonym przez spółkę warunkom. W miejsce nas trzech będzie sześciu spółników. O ile mi się zdaje, spółka o tyle będzie silniejszą, jak sześć ma się do trzech. Ja z mojej strony proponuję jako spółnika pana Wacława, który niemało przyczynił się do naszego powodzenia.

Julian i Stanisław na znak zgody podali rękę Tadeuszowi, polecając od siebie pana Antoniego, a Staś panią Bronisławę i jej syna Konrada. Był on uszczęśliwiony z całego kierunku interesu. Nieraz dolatywało go niemile dlań słowo „geszeft“. Lżej mu teraz było, gdyż szlachetne usposobienie jego wzdrygało się na samo przypuszczenie wyzyskiwania, eksploatacji.

— Podług tego planu — ciągnął dalej Tadeusz — każdy z nas ma teraz siedem i pół tysięcy swobodnych, czyli we trzech rozporządzamy dwudziestu dwoma tysiącami i pięciuset rublami. Co mamy z nimi zrobić? Czy przystąpimy do nowego interesu, czy ulokujemy je jako rezerwowy kapitał w banku, żeby go mieć w każdej chwili na zawołanie?

Z proponowanych spółce interesów Julian uważał za najlepszą lokacyę kapitału nabycie lasu w Jago-

dyńcach od Bolesława. Wartość lasu do trzydziestu tysięcy. Stańło więc na tem, że piętnaście tysięcy można dać jako zadatek, a siedem tysięcy pięćset zostanie złożone w banku do dalszej dyspozycji.

Posiedzenie zostało zamknięte. Staś uściskał Juliana i Tadeusza.

— Wiecie, że mi lżej teraz; kocham was bardzo, szanuję, ale przyznam się wam otwarcie, że od czasu jak wszedłem do spółki, suche cyfry, procenta, już mnie męczyły, były nawet chwile, kiedy mi się zdawało, że już zaczynają mi wyrastać malutkie pejsy. Teraz spółka nasza nabierze charakter pogodniejszy.

Suty ogień palił się na kominie, miło przeszedł ten wieczór jesienny. Staś miał jechać nazajutrz do Bolesława i traktować z nim o nabycie lasu.

* * *

Od rana w pokoju Bolesława siedział Lejba. Każde widzenie się z tym pejsaczem do rozpaczy doprowadzało Bolka; rozmowa z nim i całe traktowanie interesu przez lichwiarza przypominało bolesną operację męczenia owadów i ptaków przez nieokrzesane dzieci wiejskie. Bolesław o ile mógł panował nad sobą. Lejba pastwił się nad swoją ofiarą, nadał się jak jędor, poczerwieniał cały.

— Wiesz pan, co ja panu powiem: jeśli pan dziś nie skończy interesu, to jutro będzie tu sudebny prystaw — a uderzywszy się po kieszeni, dodał: ispołnitelnej list jest tu.

— Ależ panie Lejbo — błagał Bolesław — pan wie, że ja się żenię, po ślubie wchodzę w posiadanie majątku mojej żony i płacę wszystkie długi.

— A kto zaręczy, że pańska żona będzie chciała płacić i czy będzie tyle gotówki co pan winien?

— Przepraszam — zachnął się Bolesław — ale to do interesu nie należy. Wystarczyć powinno panu moje słowo i mój dokument. Nie wierzysz pan, to rób co ci prawo i sumienie nakazuje.

Przy tych słowach Bolesław gorzko się zaśmiał.

— Co to sumienie? — zawołał żyd. — Wziąłeś pan pieniądze, minął nie jeden, a dziesięć terminów, a teraz koniec — *anek*. Płać pan pieniądze, albo jutro te meble, powozy, konie, będą sprzedane z tarabana.

— Ależ panie Lejbo, zastanów się, zkaż ja w jednej chwili mogę wypłacić sześć tysięcy rubli?!

— Jakich sześć tysięcy? — krzyknął Lejba. — A te tysiąc rubli, co ja nabył od Walka z Bałamotoówki, to pan nie liczy? A za te dwieście korey owsa, co pan wziął u Feigi, to pan także nie liczy? Ona biedna kobieta, może dziesięć razy tu jeździła. Ja się zlitowałem i kupiłem ten kwit, a procent za pół roku to pan nie liczy? Mnie się należy z górą ośm tysięcy, i jeśli tu na stole nie będzie ośm tysięcy, to ja panu mówię — tu głos silniej podniósł — że ja te rupiecia jutro zlicytuję. Ja panu nie radzę ze mną żartować.

Bolesław zakipiał gniewem.

— Proszę się nie unosić, panie Lejbo i głosu nie podnosić.

— Kiedy ja już mam taką naturę, że jak kto nieakuratny, to ja nie mogę być delikatny.

— Bardzo to pięknie, cenię przyzwyczajenia pana, ale proszę być trochę ciszej.

— Co to ciszej? Możesz pan komu innemu dysponować — krzyczał cały zacietrzewiony Lejba — ja dłużej słuchać pana nie myślę. Ostatnie słowo moje: kupię u pana tych sto pięćdziesiąt morgów lasu po sto rubli za morg, wszystkie haławy będą wytrącone, mój wiernik będzie miał dom w lesie i ogród, wypas w całym lesie należy do mnie. Kończ pan — i wyciągnął rękę. Teraz daję panu ośm tysięcy rubli weksłami.

— A reszta? — zapytał Bolesław.

— Reszta w ciągu ośmnastu lat.

— A jeśli zażadam wszystkich pieniędzy z góry?

— To na to jest rada. Odliczymy niewielki procent — piętnasty.

— A to ładna sprzedaż — zawołał Bolesław. — Pan Lejba sam mi odradzał sprzedaż lasu i cenil go wyżej jak dwadzieścia tysięcy.

— Nu, to trzeba było sprzedać; trafiło się panu szczęście. Zresztą oddaj mi pan moich ośm tysięcy, a ja nie chcę pańskiego lasu.

— Jak się panu podoba — rzekł Bolesław — narzucać się nie myślę. Nie jesteś pan tak wszechmocny, jak mu się zdaje. Za miesiąc mój ślub, a zresztą może się znajdą jeszcze ludzie, którzy mię od zguby uratują.

Lejba zaczął się śmiać. Ironiczny ten śmiech drażnił Bolesława, zbladł i blizkim był wybuchu, ale jeszcze panował nad sobą.

— Kto was będzie ratować? — szydził lichwiarz — może Francuzi przyjdą was ratować?

Milez! — krzyknął Bolesław. — Ani słowa więcej! Możesz tradować, odzierać, ale urągać sobie nie pozwolę. Chcesz wiedzieć moje ostatnie słowo, oto jest: dasz dwadzieściodwa tysiące i piętnaście z góry, termin wyrębu dwanaście lat; a nie dasz tyle, to możesz mnie licytować!

— No, to do widzenia do jutra, ale ja tu już sam do pana nie przyjadę — rzekł lichwiarz i wyszedł z pokoju.

W tej chwili przed gankiem ozwały się greloty, a z szarabanu wyskoczył Staś. Często bywał on tu dawniej gościem. Bolesław wybiegł na jego spotkanie. Z rozgorączkowanej twarzy, z drżących ust Bolka wniósł, że coś mu dolega.

— Przedewszystkiem proszę cię Bolku o otwartość — przemówił Staś na wstępie. — Może ci przeszkodziłem, może masz jakiś pilny interes, rachunki. Ze starym przyjacielem nie rób sobie przymusu.

Dziękuję ci, żeś przyjechał — odrzekł z serdecznością Bolesław. — Przed chwilą miałem ciężką przeprawę z Lejbą, znasz go?

— Zналиśmy się kiedyś, ale teraz, dzięki Bogu, już go nie widuję. Więc to ten zacny mąż gościł u ciebie?

— Męczy mnie o kupno lasu.

— Cóż, skończyliście?

— Niepodobna. Podaje mi takie warunki, że lepiej niech już licytuje. Posiada moje rewersa i grozi mi — z goryczą westchnął Bolesław.

— Więc pod naciskiem kupuje u ciebie las, kiedy zapadł termin płacenia twoich weksli?

— Ależ termin już niejeden minął; na jutro zapowiedział sprzedaż moich ruchomości.

— Bądź łaskaw — rzekł Staś — poproś go, niech się trochę zatrzyma.

Bolek wyszedł, a zatrzymawszy żyda, wrócił.

— Daruj — zaczął Staś — że od razu przystępuję do interesu. Ty sprzedajesz las, my chcemy go nabyć. Jaka jest ostatnia cena tego lasu?

— Dwadzieścia kilka tysięcy cenili go przed kilku laty — zapewniał Bolesław.

— A w danej chwili jak go cenisz?

— Dwieście rubli za morg; jest po stopięćdziesiąt dębów na morgu przeciętnie; zdaje mi się, że to nie jest cena przesadzona.

Nie upłynął kwadrans, umowa była zawarta, warunki sprzedaży spisane i najniespodziewaniej Bolek dostał piętnaście tysięcy — połowę należności.

— No, panie Lejba — rzekł Bolesław do wchodzącego żyda — nudził się pan tu sam, przepraszam bardzo, ale z panem przepędziłem cały ranek, dla mojego przyjaciela ledwie kwadransik poświęciłem.

— Ja pana Stanisława dawno nie widziałem — odpowiedział Lejba — słyszałem tylko, że pan teraz ciągle jeździ.

— A pan Lejba w domu załatwia interesy?

— Czasem choć nie lubię, ale i ja jeździć muszę; najlepiej w domu robić interesy.

— Jeśli panu Lejbie spieszo do domu — rzekł Bolesław — nie zatrzymuję pana, żałuję tylko, że

nie skończyliśmy naszych interesów. Życzę panu szczęśliwej drogi.

— Przepraszam, ale chciałem jeszcze powiedzieć jedno słowo na osobności.

— Ale i owszem, proszę, mów pan; przed moim przyjacielem nie mam sekretów.

— Czy tak? to dobrze. Przedaje pan las czy nie? Jedno słowo.

— Nie, nie sprzedaję, ale dłużek mój panu płacę.

— Pan sobie żartuje — zawołał lichwiarz.

— Nie żartuję, tylko płacę i to natychmiast.

Lejba nie wiedział, czy to żart, czy seryo Bolesław chce mu płacić.

— Pozwolisz Stasiu — mówił Bolesław dalej — służyć sobie śniadaniem? a może i pan Lejba wypije kieliszek likieru?... Co pan tak patrzy na mnie, jakbyś nie chciał wierzyć, że interes między nami skończony, ale daję panu słowo, że płacę moje rewersa i nabyte długi Walka i Teigi.

— To niech pan płaci — cedził żyd niedowierzająco i wyjął rewersa.

Bolesław dobył pulares i położył ośmdziesiąt setek na stole. Lejba nie wychodził z podziwienia, spozierał to na Stasia, to na Bolesława; nie mógł zrozumieć, co się tu stało.

Podano śniadanie.

— Pan Lejba pije wódkę? — zapytał gospodarz.

— Dlaczego nie pije, byle nie bardzo mocna.

— Zdaje mi się, że to żołądkówka — rzekł Bolesław.

Lejba wychylił kieliszek i mocno się skrzywił.

— Co to jest? — zawołał Bolek przestraszony i rzucił się do butelki. — Co te osły podali. Ach, nieszczęście, to trucizna, którą sprowadziłem na muchy!

— Co, trucizna! — krzyknął nieludzkim głosem Lejba — o, ja nieszczęśliwy, otruli mnie!

Bolek energicznie zabrał się do ratowania. Lejba przerażony, blady, słabym, drżącym głosem, zażądał kwaśnego mleka. Posłano po felczera, a tymczasem zalewano go kwaśnem mlekiem, okładano wizykatoryami i lodem. Lejba pozwolił robić z sobą co im się podobało, uważając się już za zgubionego. Na szczęście wszystko dobrze się skończyło, pokazało się bowiem, że to nie była żadna trucizna, ale gorzka angielska wódka. Pacjent wówczas dopiero się uspokoił, kiedy z tej samej butelki Bolesław nalał kieliszki i kazał służbie pić za zdrowie Lejby. Żydzisko stękając, chociaż zupełnie zdrów, wyjechał nareszcie z Jagodyniec. Bolek jak żak cieszył się z figla Lejbie splatanego; było to słabe wet za wet za lichwę i za te męczarnie, które od niego tak długo znosić musiał. Ściskając Stasia, oprowadzał go po całym domu, opowiadał o swojej narzeczonej, a wreszcie na ślub zaprosił. Obiadowali razem, później przyjechało jeszcze kilka osób — zastawiono zielone stoliki i grano do rana w karty.

Formalny kontrakt na sprzedaż lasu miał Bolesław podpisać za tydzień u notaryusza. Na wsiadaniem zaprosił Bolek Stanisława na pożegnalny kawalerski wieczorek i na polowanie z chartami.

Po tak pomyślnej sprzedaży lasu Bolesław wyjechał do narzeczonej. — Wszyscy jego przyjaciele

otrzymali zaprosiny na polowanie. Wszystko już było w pogotowiu i domek urządzony, powozy i konie i cała służba w komplecie.

Za parę dni miało się odbyć polowanie. Wezwany kucharz, ubrany cały w bieli, stał w gabinecie.

— Mój Sadłosiu — przemówił Bolesław — proszę cię, żebym się nie powstydzil!

— Ależ proszę pana, czyż to mnie pierwszy raz? — odpowiedział dumnie kucharz. — Służyłem u księcia kilka lat, na bale w Różanej także bywałem wzywany.

Więc postaraj się, żeby wszystko było dobre. Zamówienia już nadeszły z Odessy i z Kijowa. Coś słodkiego, to twoja rzecz, ja się na tem dobrze nie znam.

— Może dać plombierę?

— Rób co chcesz, byle było dobrze.

* * *

Było to pod koniec września. — Pięknie zieleńiły się posiewy ozime, toki pełne były stert, urodzaj był dobry. W Mohylnej na niewielkiem wzgórzu stała chata Woźniuka. Włościanie z Mohylnej odznaczali się w całej okolicy wielką pracowitością; był to lud zamożny, chaty obszerne, czysto utrzymane, o złodziejach we wsi nikt nie słyszał.

Stary Woźniuk zaliczał się do dawnego dobrego rodu, spokrewniony on był z najzamożniejszymi rodzinami w sąsiedztwie. Za chatą Woźniuka był tok, stodoła pełna zboża i dwa stogi starego żyta świad-

czyły, że tu myślano o czarnej godzinie. Za tokiem był sad wiśniowy, kilka jesionów, czereśni i wśród tego pasieka. Na godzinę przed wschodem słońca najmyt Woźniuka, Jarema Wichrowaty, rodem z Bałamotówki, przyjechał z końmi z noclegu. Syn Woźniuka popędził woły popaść na łąkę.

Jarema rzadko kiedy bywał w dobrym humorze, coś mu zawsze dolegało. Choć ośmioro koni, które przyprowadził z noclegu, były łagodne i wyglądały jak ogóreczki, zawsze do nich miał jakąś urazę. Stara myszata rozparła się nad żłobem, do którego Woźniuk nasypał obroku, i jadła na cały pysk.

— *A wże hruba rosperajesia... szob tebe kolki rozperaty!*

Jarema im krzywdy nie zrobił, ale gderał i łajał już z nałogu.

Nietylko koniom od niego dostawało się, był on również opryskliwy i względem ludzi. Razu pewnego umarł żyd i nieśli go współwyznawcy. „*A szc zob was wsich powynosyło na okopyśko*“ — posłał za nimi życzenia Jarema. Na wiosnę wracali gromadzielnicy z pola i dziewczęta śpiewały — Jaremie to nie podobalo się. „*A to derutsia; ne ma na was cholery!*“ I żołnierzy nie lubił i lachów nienawdził. — Wsunął się do chaty, gdzie otrzymał śniadanie od Woźniukowej. Nie jadł nigdy ze wspólnej miski, zawsze osobno.

We dwa pługi wyszedł dziś Woźniuk na pole. Mgły już opadły, snuły się jeszcze tylko nad stawem i szeroką rudą. Pługi proste, drewniane, umiał Woźniuk tak uregulować, że orały jak samochody.

Konie i woły wyglądały dobrze. Za wołowym pługiem chodził Woźniuk z poganiaczem, za konnym Wichrowaty. Nieustannie upominał myszata, coś widocznie do niej cierpiał.

Słońce już podeszło i dwa zagony czerniły się na ścierni żytniej, kiedy od mogiły wysunęło się kilkunastu jeźdźców. Jarema spojrział ku mogile.

— *Ateż syła ich zibrała sia; ponaidajutsia, napiut-sia, taj harciujut po polach.*

Coraz bliżej widać było jeźdźców, już można było rozróżnić maście koni. Zdażano ku ziembli Mohylańskiej, której szmat duży czernił się niedaleko od pola Woźniuka. Wtem cały szereg konnych zatrzymał się na miejscu. Na jednym skrzydle zahecowano zająca. Nie długo umykał marczuk, dostał kilka obratów i niedaleko pola Woźniuka rozległo się „Harap! Harap!” — i zajac już był w pysku charta.

Panowie posiadali z koni i prowadząc je w rękę zbliżali się ku pługom. — „*Boże Wam pomahaj*“ — pozdrowili Woźniuka. — „*Daj Boże, dziękuję*“ — odpowiedział stary i znajomi nam panowie zatrzymali się koło pługów, oddając służbie konie. Bolek jako gospodarz polowania zaproponował chwilowy wypoczynek. Już cztery zające było w trokach, a teraz miano zajechać na ziembl skarbową. Stach miał prowizję w trokach i parę oplatanek.

— No, panie gospodarzu — rzekł Bolesław do Woźniuka — pozwolicie, że na waszym gruncie zrobimy prywał.

Bolek nalał czarękę i wypił do Woźniuka. — „*Daj Boże zdrowie*“ — „*Daj Boże!*“ — i stary wypił

czarkę, dobył palanicę i podał Bolesławowi. Waclaw i Staś znali dobrze Woźniuka i wdali się z nim w gawędę, którą jednak wkrótce przerwał Bolek.

— No, panowie, komu pora, temu czas. Na koń! — wezwał — i pociągnęli dalej. Jareme poczęstowano wódką, więc i on trochę złagodniał, już nie wymyślał.

Wjechano w ziembl. Wszyscy stanęli w jeden rząd — ośmnaście dzielnych koni wierzchowych niecierpliwie żuło wędzidła; trzeba było czekać, póki ostatni dojeżdżacz nie zajechał na skrzydło. Przyjętem było prawidło; że kto upatrzy zajęcia lub lisa, daje znać ręką, wtedy wszyscy stoją na miejscach, a ten tylko szczuje, kto upatrzył lub z pod kogo pomknie zwierzyna. Przyszczuwać nie wolno było; jeśli zwierz ucieknie, tem lepiej, wtedy dojeżdża jeden, najwyżej dwóch.

Wolno, stępo posuwał się cały szereg. Niebo było czyste, ani chmurki na horyzoncie; słońce łagodnie ogrzewało ziemię, mgły i tumany usiadły, cisza wokoło, tylko z dala przy pługach nawoływali poganiacze — a ciepło, a tak jakoś dobrze na tych równinach i koniom i ludziom. Koń tutejszy, to przyjaciel, to drużba; kiedy wjedziesz do stada, to zbiegną się do ciebie i okrażą i idą do ręki, później, kiedy ujeździ się pod siodło, to nie zwierzę, a inteligentny towarzysz, to przyjaciel. Człowiek i zdrowszy i weselszy, gdy dosiędzie takiego konia.

Ziembl już spłowano, niemało było zajęcy w trokach i lis jeden. Bolesław wprowadził towarzyszy w jar głęboki. Była tam krynica, przy której postanowiono odpocząć. Pozsiadano z koni i popuszczono

im popręgi. Charty powlazily w rów pełen wody sitowia, niektóre spuszczone ze smyczy tarzały się po trawie. Młoda suka moregowata wielkich nadziei, której ojciec sprowadzony był z Krymu, droczyła się z psami i już gotowa była wyprawiać harce po jarze, że ledwie dojeżdżacz ją złapał i na smycz zabrał. Były tu trzy duże srokate charty, zabytki dawnej polskiej rasy, były krymskie i para czarnych anglików, niewielkie, gładkie, lśniące jak atlas.

Kiedy myśliwi wybierali się z jaru, dosięgli najwyższego punktu w okolicy. Widać ztąd było Dąbrowę, ogród Różanej, Mohylnę i mogiłę przy „Czarnym Szlaku“. Wracano wreszcie stępo do domu. Charty spuszczone ze smyczy. Z zasiewów porywały się stada dropi, pługi schodziły od roboty, ze ścierniska pędzono trzodę i chłopcy wygrywali na dudkach. Konie wymachując głowami wesoło parskaly, czując, że wracają do domu. Słońce zachodziło, czuć było świeży, rzeźwy wieczór jesienny. Porządku nie pilnowano, panowie jechali po kilku, z boku służba, za nimi wlokły się charty.

Wtem stary Dolot, który chodził pędem a węż miał wyborny, zaczął podbiegać, przystawał, nastawiał uszu i nakoniec pomknął a za nim pospieszyło jeszcze kilka młodzików. Stary dojeżdżacz Bolka wytrząsł fajkę, zebrał cugle do ręki i ruszył za Dolotem. Zrobił się popłoch, ale że szczucie odbywało się cicho, nikt nie wiedział co się stało. — „Łys! Łys!“ — odezwało się kilka głosów i ujrzano na kilkaset kroków starego lisiurę, jak wymykał ze ścierniska owsianego. Wyruszył był na polowanie na my-

szy, a że ich w ściernisku było nie mało, więc podjadłszy sobie, zdrzemnął się trochę. Tętent koni i rozmowa myśliwych zbudziły go ze snu. Z początku porwał się do ucieczki, ale namyśliwszy się, zawarował. Dolot zwietrzył go od dawna, lis zaczął się czołgać na brzuchu i zdążał do miedzy podszytej burzanami. Dolot z młodzikami podążył ku miedzy i bodaj czy go już nie miał na oku. Czując, że półśrodkki do niczego dobrego nie doprowadzą, lis wyskoczył na czyste pole. Tu już nietylko Dolot z kompanią, ale cała halastra za nim wyruszyła. „Hejże ha! hejże ha!“ — rozległo się z kilkunastu piersi, a ktoś dla zachęty palił z harapa. Biedna lisiura widząc, że to rzecz bardzo seryo, dobył wszystkich sił i zmykał. Dolot był najbliżej i tak się już przysadzil, że o mało go nie schwycił, ale jakiś chart pędząc z przelaju, natknął się na niego i przewrócił, a lis korzystając z tego, dopadł burzanka i tam zawarował. Psy skakały w górę, rozglądały się na wszystkie strony — straciły lisa. Ale Dolot, stary wyjadacz, pędem gonil po tropach lisich. Lis chwilę wypocząwszy, znowu się wysunął na czyste pole. Rozgorączkowani myśliwi dojrżeli go, a dojeżdżacze nie żałując koni pomknęli za chartami. Lis na nowo poszczuty, dostał się w obroty. Tu już nie było ratunku, zatoczył koło i szarpany, skubany, z wywalonym językiem, czuł, że koniec jego już bliski. Jeszcze raz przysiadł i porwał Dolota za łapę, ten go schwycił za kark i strzepnął nim silnie, lecz lis się wyrwał oczy jego ciskały zielone błyski; najmłodsze charty rzucały się najśmielej, niejedno mocno

był skaleczony, lecz w końcu lis osaczony, włóczony, zginał. Ledwie udało się rozpędzić zgraję chartów, które tak się rozjadły, że byłyby go poszarpały na sztuki; dostawszy jeszcze kilka buczków po głowie, zawisł w trokach. Lis to był stary i całe jego zachowanie się dowodziło, że nieraz on już uchodzić musiał przed napaścią ludzką.

Wesoło wracano do domu. Dwa lisy i kilkanaście zajęcy uszczuto jednego dnia. Nazajutrz dopełnić się miały zakłady wyścigowe Lotki Bolka z Szumką Stasia i Walka Szpilki z Anglikiem Juliana.

Przy rzęście oświetlonym stole zasiedli panowie do obiadu. Wesoło tu było. Sadłowski spisał się znakomicie. Po obiedzie podano likiery i kawę; gwarno było jak w ulu. Bolesław znany z gościnności, dziś przeszedł siebie. Gucio rozwinął cały repertoar różnych wesołych opowiadań, a miał tego taki zapas, że wystarczyłoby nie na jeden wieczór. Jak zwykle u Bolesława i dziś gra była wysoka.

* * *

Kiedy pan Bolesław w koleżeńskim kółku wesoło żegnał stan kawalerski, na dworze pana Antoniego twarde prowadzono życie. I nic dziwnego. Bolek był sam, a tu Zosia już panna dorosła, trzeba było myśleć, żeby miała i sukienkę świeżą i kapelusik zgrabny. Zosia to złote dziecko, opiekowała się i uczyła młodsze rodzeństwo, wyręczała matkę i ojca i nieraz osłodzić potrafiła niejedną ciężką chwilę.

Często też powtarzał ojczyisko: „Żebyś ty, moje dziecko, była chłopcem, toby mi lżej było.“

Pracował pan Antoni, ale potrzeby wzrastały. Żona jego miała kilka tysięcy posagowych, procent wypłacał do jej rąk, a teraz oddawał kapitał spółce.

Niemало czasu poświęcał pan Antoni na kontrolowanie gospodarstwa pani Bronisławy. Jedyńy syn jej, Konrad, za rok kończył szkoły i wybierał się do wyższego zakładu naukowego. Pan Antoni doradził wdowie, żeby spieniężyła swoje kosztowności, a odkładając z intrat co roku do tysiąca rubli, uzbierał już kapitałik, który również miał być powierzony spółce. Żeby nie pocziwa opieka sąsiada, źleby było pani Bronisławie. Zobojętniała na wszystko, nieraz zdradzała zupełną apatyę. Państwo Antoniostwo z Zosią otaczali ją opieką i przyjaźnią.

W Różanej życie płynęło bez trosk, bez wstrząśnień. Pani Józefowa, chociaż posiadała znaczny własny majątek i mąż jej należał do rzędu bardzo zamożnych, była oszczędną dla siebie. Majątek jej posagowy o kilka mil od Różanej stale był w dzierżawie. Dzieiesiątego stycznia każdego roku pocziwy pan Kalasanty punktualnie przywoził tenutę, zjadał obiadek, palił cygaro w gabinecie samego pana i znikał. I znowu dzieiesiątego stycznia roku następnego odbywało się to samo. Tenuta szła do kasy samej pani.

Pani Józefowa nie lubiła wyjeżdżać z domu; miała ona dość zajęcia; wszystkie wydatki na dom szły przez jej ręce i sama prowadziła rachunki. Pisywała też i zasilala artykułami kilka pism peryodycznych. Biblioteka zajmowała osobny pokój, gdzie najczęściej

w zimie wieczorami wszyscy się zgromadzali. Lekarz i apteka dla biednych również były opłacane przez panią Józefową.

Wandzia od szesnastego roku życia pobierała pensję i prowadziła rachunek swoich wydatków, a wraz z boną odwiedzała chorych. O dobrych uczynkach nigdy nie wspomniano w Różanej, ale jeśliby wolno było zajrzeć do książki rachunkowej pani Józefowej, znalazłaby się tam osobna rubryka „dla potrzebujących pomocy”. Pokażne figurowały tam cyfry. To też w niejednej chacie z czcią wspomniano imię Wandzi i jej matki.

Pan Józef był dobrym administratorem, chociaż w szczegóły mało wnikał; stworzył on sobie świat odrębny, ukochał swoje rośliny, drzewa i żył wśród nich. Nic też dziwnego, że Tadeusz ukochał Różanę i jej mieszkańców. Kiedy znudzony pracą lub książką, chciał świeżych sił zaczerpnąć, odetchnąć tą atmosferą, spieszył do Różanej. I dziś wśród głuchej i smutnej jesieni, przyjechał Tadeusz, żeby pożegnać sąsiadów, wyjeżdżał bowiem na parę miesięcy na Litwę.

* * *

Kto jeszcze młody, komu życie nie zaciężyło, miło wita zimę, a szczególnie taką zimę, jaka była w tym roku. W początkach grudnia spadł śnieg obfity, później mrozy dochodziły do dwunastu stopni. W wioskach była uciecha wielka, chłopcy na saneczkach spuszczali się z góry na staw, dziewczęta skulone z zazdrością z daleka przypatrywały się tym goni-

twom, ale nie dopuszczano je do tej zabawy, a tylko wolno im było przypatrywać się z daleka. Oprócz uciechy z saneczkami, nastawiono po ogrodach siodła na gile, szczygły i czyżyki. Błota zamarzyły, stawy pokryły się lodem.

Pan Bolesław zamieszkał już z żoną w Jagodyńcach i porobił wizyty w sąsiedztwie. Pani Bolesławowa, bardzo młodziutka osoba, kochała męża, patrzyła w niego jak w tęczę. Sierotą po matce, nie zaznała jej pieczy. Macocha ją ubierała, zajmowała się jej wychowaniem, ale serca dla niej nie miała. Kiedy się trafił konkurent, nie czyniono trudności, a sporządziwszy wyprawę, oddano sierotę i wieś dobrą ukraińską.

Bolesław kochał swoje strony, a urządziwszy dom, postanowił majątek żony wydzierżawić. Panie w Różanej polubiły młodą sąsiadkę, znajdowano ją bardzo sympatyczną. Pan Bolesław serdeczny, dobronny, jeśli miał grosz, gotów był podzielić się z biedniejszym; dość było żeby go kto poprosił, bez wahania natychmiast podpisywał poręczenie na rewersie i chętnie dzielił się z tem co miał w pularesie. Urządzenie domu dużo kosztowało. Marynia wydała mu plenipotentę nieograniczoną. Wizyty, przyjmowanie gości, spacer, nie pozwalały mu zajmować się gospodarstwem.

U ekonoma jego często bywali goście. Żyli dobrze we dworze, ale nie gorzej i na folwarku. Ze zbożem obchodzono się nie bardzo skrupulatnie. Pomocnik ekonoma, młodzieniec pełen szyku, w rękawiczkach

i z laseczką, dowodził, że ziemia należy do całej ludzkości i zdanie to trafiało do przekonania wielu.

Wesoło było na dworze państwa Bolesławostwa i dostatnio. Pannom służącym w garderobie tak już obrzydły kotlety, że wyrzucały je za okno.

Pierwszych dni stycznia w Różanej zebrało się kilka osób z sąsiedztwa. Pani Bolesławowa usiadła do fortepianu, ładnie grała i śpiewała; nie posiadała głosu silny, ale miły, salonowy. Dziś miała się odbyć loterya fantowa na korzyść pogorzalców sąsiedniego miasteczka. Dwie córeczki państwa Antoniostwa ubrane w białych sukienkach wyciągały bilety — do trzystu rubli wpłynęło dla pogorzalców.

Było już dość późno i pora była myśleć o odwrocie, kazano więc zaprzęgać konie, służba jednak oznajmiła, że zerwała się zawierucha z śniegiem i żaden z furmanów nie decyduje się zaprzęgać. Państwo Józefostwo radzi byli, że żywioly im sprzyjają i że wszyscy zostaną. Młoda mężatka lubiła tańczyć, więc szykowano się do tańca. Panu Stanisławowi poruczono objąć komendę na czas oblężenia. Kto wie, jak długo potrwa zawierucha. Powierzono mu zatem starania, żeby panie się nie nudziły. Co do zapasów, można było być spokojnym; gdyby i pięćdziesiąt osób, niczego w Różanej nie zabraknie.

Staś rozpoczął swoje rządy. Najprzód pomyślał o orkiestrze. Był tu ogromny stary zegar z kurantami, który natychmiast został nakręcony; grał wyśmienicie, szczególnie walc dobrze mu się udawał. Odkrycie to ucieszyło wszystkich; żalowano rąk pań do fortepianu, chciano, żeby wszystkie tańczyły. Usunięto

meble i rozpoczął się walc. Staś z panią Belesławową rozpoczęli tany. Po walcu zegar wypoczywał.

Wtem służący dał znać, że jakiś pan przyjechał i panowie pospieszili na jego spotkanie. Do sieni włożyła się jakaś bezkształtna postać, cała zawiana śniegiem. Kiedy przybyły pozbył się futra, poznano Guccia. Wyjechał on przed pięciu godzinami z najbliższej stacyi kolei i ledwie się dobił, zawdzięczając tylko temu, że nie miał wiatru w oczy. Całe szczęście, że nie było mrozu. Śnieg porobił takie zasy, że jeśli tak potrwa do rana, ruszyć się będzie niepodobna.

Radość z przybycia dansera była wielka; karmiono go, pojono, byle prędzej przebierał się i stawał do kotyliona. Znalazły się chorągiewki i ordery, a zegar walca grał wybornie.

Pod koniec tego małego balu panowie okryci byli orderami, a pan Stanisław dostał oprócz orderów dwie wstęgi. Jeden tylko Tadeusz w ciągu całego wieczora był jak nie swój, prawie nie tańczył, był milezący, roztargniony. Nad ranem zawierucha uciła — po śniadaniu wszyscy wyjechali. Z obcych zostali tylko Tadeusz i Gustaw.

Dzień był pogodny, ale mroźny, niebo czerwonawe, wyskrzone. Puszysty śnieg okrywał drzewa. Wokoło białło, martwo, niby całun otulił ziemię. W niewielkim pokoju pani Józefowej, gdzie zwykle lubiła przeziadywać w kółku blizkich, były tylko panie i pan Tadeusz. Pan Józef był w swojej pracowni, Guccio wypoczywał po trudach podróży i tańcach wczorajszych.

Pani Józefowa zwróciła uwagę, że widzi w panu Tadeuszu wielką zmianę od czasu. jak wrócił z Li-

ty, że wczoraj prawie nie tańczył. I panna Wanda była dziś bledszą jak zwykle, cera jej była prawie przezroczysta, blask słońca ją raził. Skarżyła się, że nie lubi tego wyiskrzonego nieba w zimie.

— To słońce — rzekła — które świeci a nie ogrzewa, robi na mnie wrażenie człowieka zimnego, bez serca. Czy i pan doznaje podobnego wrażenia? — zapytała Tadeusza.

— Najzupełniej podzielam zdanie pani, chociaż tujsze zimy łagodne i krótkotrwałe w porównaniu z temi, które przeżyłem na północy. Pamiętam jedną z tych zim straszną, ciężką, i przez całe życie jej nie zapomnę.

Głos mu drżał, snąc smutne wspomnienia stanęły w jego myśli.

— Mieszkałem wtedy — ciągnął dalej — na wsi z jednym z moich towarzyszy. Przed moim przyjazdem przysłany był tam obywatel z Litwy, poznaliśmy się i zbliżyli do siebie. Był to wdowiec; jedyną jego towarzyszką i opiekunką była córka jedynaczka, ośmnastoletnia panienska. Bywałem u nich często, prawie codziennie, uważany za bliskiego ich rodziny. Święta Bożego Narodzenia spędziliśmy razem we czworgu. Przed Nowym rokiem wypadło mi wyjechać na dni kilka do miasta. Wróciwszy, zastałem mojego przyjaciela bardzo chorym, prawie już gasnącego. Poznał mnie jeszcze, ujął rękę Jadwisi, swej córki, i mnie oddał. Przyklękliśmy i pobłogosławił nas. Umierał spokojny. Narzeczona moja napisała do babki o woli ojca i otrzymała jej błogosławieństwo.

W rok już byliśmy połączeni. Dwoje biedaków podało sobie ręce, żeby wspólnie cierpieć i pracować. Jednak i tego los nam pozazdrościł. Jadwisia poszła za ojcem. Został mi, jako wspomnienie chwilowego szczęścia, mój Kazio, syn jedyiny... Wybaczcie panie, że dzielę się z wami moją boleścią... Dziś rocznica śmierci Jadwini. Przywykłem uważać Różanę jako dom dla mnie jedyiny życzliwy, od państwa doznałem tyle współczucia, życzliwości...

Głos mu odmówił posłuszeństwa, łza stanęła w oku, wstał, zbliżył się do okna i długo patrzył w przestrzeń. Kiedy wrócił, twarz jego była spokojna, tylko bardzo blada.

Panna Wanda w czasie tego opowiadania słuchała uważnie; jakiś ból wielki, niezmierny, odmalował się na jej twarzy, drżąc cała, oczy szeroko się rozwarły, ani kropli krwi nie było w jej twarzy.

— Cóż się stało z sierotą, z synem biednej Jadwini? — zapytała pani Józefowa.

— Z wielką trudnością udało mi się odesłać go do babki na Litwę, sam nie mogąc go odwieźć. Dotąd był pod opieką babki. Zabierę go teraz z sobą do Mitawy i chcę z nim zamieszkać, pragnąłbym bowiem, żeby tam wstąpił do szkoły.

Nadszedł pan Józef. Panna Wanda, a za nią i pani Józefowa przeszły do pokoju Wandzi.

Pani Józefowa sercem matki odczuła boleść córki. Nie pragnęła wkradać się w najdroższe tajniki serca, ale przeczuła, odgadła, jak ona cierpi. Tadeusz oczekiwał powrotu pań — żeby je pożegnać. Był jeszcze wzruszony, ale potrafił zapanować nad sobą. Przy

pożegnaniu powiedział panu Józefowi, że interesa go zmuszają opuścić te strony na rok, a może i na dłużej.

Kiedy wrócił do siebie, zamknął się w swoim pokoju. Ile on tam bólu zaznał, ile walk przeżył. Kochał Wandę — sądził, że mu raz jeszcze może uśmiechnie się szczęście — ale raz tylko kwitną kwiaty, raz tylko trwa młodość. Tadeusz latami nie był stary, ale walka którą przeżył, praca nieraz nad siły, zmęczyła go. Szlachetna natura jego brzydziła się egoizmem. Miał obowiązki, narzucać się z nimi nie mógł i nie chciał.

W czasie ostatniego pobytu na Litwie spostrzegł, że matka jego żony bardzo upadła na zdrowiu — na nim więc wyłącznie spoczywał obowiązek wychowania syna. Przypomniawszy także ten dzień straszny, mroźny, kiedy Jadwinia go żegnała i oddawała mu Kazia w opiekę, zlewała na obu swoje błogosławieństwo. Pamiętał tę chwilę, kiedy ją żegnał, jedyne go swojego przyjaciela, wiernego towarzysza niedoli.

Opuśćmy na chwilę Dąbrowę; trzeba uszanować ten wielki żal, tę boleść, tak ciężką Tadeuszowi, a razem tak drogą, bo mu przypominała, że i on miał chwilę szczęścia, żeby później tak długo cierpieć. Bywając w Różanej, nieznacznie, powoli przywykł tam do wszystkich; pannę Wandę widywał często, cenił jej zalety serca, a postać jej była dla niego ideałem piękna. Walczył z sobą, nie zdradzając się nigdy z swoim uczuciem. Traf tak zrządził, że w dzień tak dla niego pamiętny, w rocznicę śmierci Jadwisi, wypowiedział wszystko to, czem nigdy z nikim się nie dzielił.

Jeszcze parę dni bawił w Dąbrowej. Juliana i Stanisława zostawił administratorami majątku, oprócz tego kodycył, w którym wyraził ostatnią swoją wolę na wypadek śmierci. Nie zapomniał o rodzinie Demyda mularza i o starych sługach. Kapitał włożony do spółki i nadal zostawał pod opieką dwóch przyjaciół.

Wieści o skarbie w Dąbrowej nie były fałszywe; stary Demyd umierając odkrył mu tajemny wchód do zamurowanego składu i tu znalazł Tadeusz kilka pasów litych, drogocenne spinki i dziesięć tysięcy dukatów. Kapitał ten ulokował w banku i dopiero po siedemnastu latach jego spadkobierca miał prawo korzystać z procentów od zdwojonego kapitału. Stach miał pozostać przy gospodarstwie w Dąbrowej. Taka była ostatnia wola Tadeusza.

Od tego czasu Tadeusz rzadko tylko i to na krótko zjawiał się w Dąbrowej. Zamieszkał stale w Mitawie, gdzie Kazio chodził do szkół. W czasie wakacyj odbył raz z malcem podróż; zwiedził Krym, brzegi Kaukazu, byli i u grobu Zbawiciela.

W Dąbrowej nic się nie zmieniło, tylko stary Jan postarzał się bardzo, ledwie suwa nogami starowina.

Lata mijaly. Tadeusz administrował znacznym majątkiem na Litwie, który po śmierci babki przeszedł drogą spadku na jego syna.

Do Różanej przyjeżdżał co rok agent z Moskwy i zakupywał bery. Sad daje znaczne dochody. Szczepy rozkupuje cała okolica.

A za kogo wyszła panna Wanda? Za Stasia z Mohylnej. Niepodobna było oprzeć mu się, bo i szla-

chetny i miły. Było też w Różanej weselisko huczne, liczne, jak za dawnych dobrych lat.

Pan Bolesław już parę razy miał naznaczoną licytację i las dziewiczy, mimo majątku żony, został sprzedany.

Pani Bronisławowa teraz trochę weselsza, czasem nawet uśmiecha się, bo jej Konrad już na politechnice w Rydze, nosi już barwy i koledzy go poważają, bo inteligentny i sympatyczny.

Pan Antoni wciąż pracuje jak wyrobnik, bez wytchnienia. Zosia zapewne odda rękę Julianowi, bo on tam często bywa — a dlaczegoż nie mieliby się pobrać; Zosia potrafi pocziwemu człowiekowi zapewnić szczęście; wniesie z sobą pracowitość i humor, bo to zuch dziewczyna.

Gucio znikł z okolicy, ale można być o niego spokojnym, nie zginie on tak łatwo.

Bałamotówkę kupili włościanie: Filko Pronoza, jego rodzina i handlarz wieprzów z sąsiedniej miejsciny. Nie minęło parę lat jak włościanie postanowili wysiedlić Walka, którego uznano za szkodliwego dla gminy, a że semici stracili po wsiach swój walor, rezolucya gminy uzyskała sankcyę rządu i Walko musiał opuścić swoje gniazdo. W karczmie powybijano okna, odarto snopki z dachu i ruina ta przeraża swoją nagością. Szynk wiejski przeniesiono do chaty Wichrowatego, gdzie na żółtej desce wymalowano dwa sztuffy i napis: *Raspiwoczno i na wynos*.

A nad Czarnym Szlakiem, jak przed wieki stoi mogiła, świadek niejednej walki, jaka toczyła się na tych równinach. Czasem odwiedza ją Tadeusz. On

spokojny. Co to za szczęście odrobina spokoju! Życie nieraz tak męczy, tak nuży, chciałoby się wypocząć, zapomnieć o wszystkim i o wszystkich, ułożyć się cicho, jak do snu i nie wstać już więcej. Co to za szczęście złożyć swe kości na własnej, nie obcej ziemi. Ten tylko to czuje, kto długo tęsknił do rodzinnych stron, kto był tułaczem.

Stary, poczciwy Woźniuk już nie wychodzi w pole z pługiem, już niedomaga — kołysze i zabawia wnuki.

Stary Dederko, kiedy nie mógł pracować, wziął kij do ręki, przewiesił torbę przez plecy i poszedł prosić o chleb powszedni tych, co go mieli do syta. Pawełek już był żonaty i miał posadę pobereźnika w Jagodyńcach. Hanka wyszła za męża. Dederkowa odpoczywała wśród lip po trudach ciężkiego życia na cmentarzu parafialnym; on sam ubogi nie chciał iść do syna. Ubóstwo nie poniża, byle człek uczciwie przeżył swój wiek. *Miser res sacra*. Każdy przełamał się chlebem i opatrzy starca i kalekę, ani dwór, ani chata nie odepchną ubogiego.

* * *

Słońce chyli się ku zachodowi, kłosa zbóż lekko się kołyszą, spokój i cisza w około. Z dala widać Różanę, Mohylnę i Dąbrowę — wszystko zda się to samo co przed laty...

Przy mogile siedział starzec z torbą żebraczą i gorąco się modlił. To stary Dederko, którego przodkowie służyli w tej krainie.

INSTITUT
BADAŃ LITERACKICH PAŃSTWA
BIBLIOTEKA

KONIEC.
<http://rcin.org.pl>
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 22
Tel. 26-68-63



F

3002